Fundusze Europejskie Wiedza Edukacja Rozwój
Rzeczpospolita Polska
Narodowe Centrum Badań i Rozwoju
Unia Europejska Europejski Fundusz Społeczny

Projekt pt. ***„Jeden Uniwersytet – Wiele Możliwości. Program Zintegrowany”***

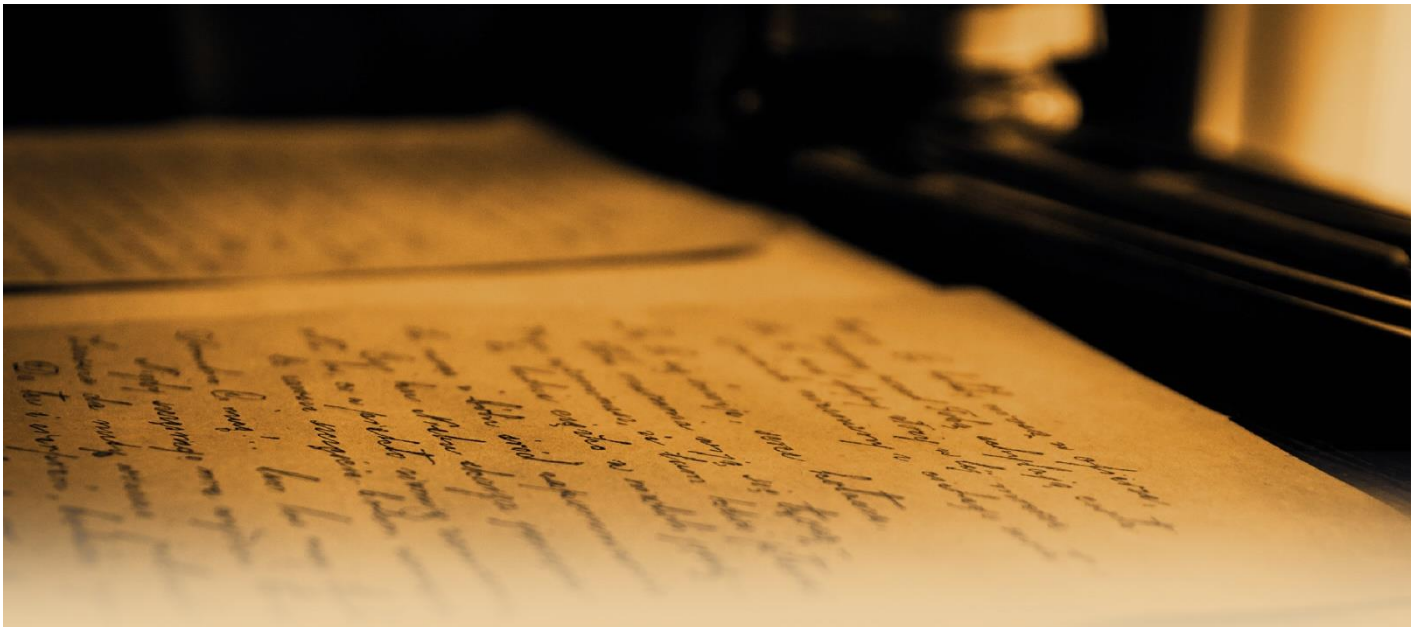

Igor Stanojoski

LIST DO CÓRKI

Katowice 2022

© Igor Stanojoski

© Muza, Skopje, 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone

Tłumaczenie:

Michał Ciesiński

Emilia Gołda

Anna Górka

Aleksander Jędryszczak

Julia Szymczyk

Bojana Vasić

Korekta:

Szymon Bednarek

Anna Wach

Klaudia Sosna

Redakcja:

Magdalena Błaszak

Projekt okładki:

Marta Gola

Od redakcji

List do córki (*Prviot univerzitetski den na mojata ќerka*) to powieść macedońskiego pisarza Igora Stanojoskiego, przetłumaczona na język polski przez studentów Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu Śląskiego – Michała Ciesińskiego, Emilię Gołdę, Annę Górkę, Aleksandra Jędryszczaka, Julię Szymczyk i Bojanę Vasić w ramach projektu *„Jeden Uniwersytet – Wiele Możliwości. Program Zintegrowany.”*

Igor Stanojoski to lingwista i współczesny pisarz macedoński. Ukończył studia na Wydziale Filologicznym w Skopje, pracował na Uniwersytecie we Lwowie, w Katowicach i w Brnie. Doktorat obronił w Instytucie Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu Śląskiego, obecnie pracuje na Wydziale Filologicznym w Štipie, w Macedonii Północnej. Jest autorem trzech powieści: *Gargara* (2014), *Prviot univerzitetski den na mojata ќerka* (2016) i *Dissomnii* (2017).

W swoich powieściach łączy różne gatunki literackie. Mimo macedońskiego pochodzenia, prawie wszystkie jego powieści mają postacie ukraińskie, poprzez które autor ukazuje czytelnikowi ukraińskie spojrzenie na świat.

W powieści *List do córki* Stanojoski przez pryzmat wizerunków głównych bohaterów i miasta Lwowa przedstawia obraz Ukrainy. Ważną rolę w tekście odgrywa Czarnobyl – nie tylko jako wydarzenie historyczne, ale i psychologiczne, które zmieniło bieg historii i świadomość Ukraińców.

Studenci podjęli się tłumaczenia tej powieści ze względu na pozytywne recenzje i popularność, jaką cieszy się w Macedonii Północnej. Wierzę, że jej przekład sprowokuje polskich czytelników do przyjęcia aktywnej postawy i pozwoli na inspirujące spotkania z literaturą macedońską.

Magdalena Błaszak

W DRODZE NA UNIWERSYTET

Stół w kuchni zdobią soczyste, czerwone jabłka. Wpatrzony w owoce, stoję oparty o szafkę i czekam aż zagotuje się woda na herbatę. Przypominam sobie jeden z poranków, kiedy tak samo zamyślony wpatrywałem się w kosz czerwonych jabłek na kuchennym stole. Podnoszę czajnik pełen wrzącej wody i zalewam liście herbaty. Odstawiam go, przykrywając niedbale pokrywką, która zaczęła kręcić się i trząść na boki, wypełniając mieszkanie specyficznym dźwiękiem. Znów spoglądam na jabłka i ponownie powraca do mnie wspomnienie tamtego ranka.

Zegar ścienny wybija godzinę dziewiątą, przywracając mi świadomość. Idę do jej pokoju i otwieram drzwi najciszej, jak mogę, a następnie, niemalże na palcach, podchodzę do okna. Odsłaniam dwie grube zasłony i do pokoju wpadają jaskrawe promienie słońca. Spoglądam na jej delikatną twarz spowitą błogim snem. Napawam się. Staję nad nią, obserwując ją tak długo, aż jej powieki nie zaczną drżeć – prawdopodobnie od ciężaru mojego spojrzenia. Szybko wychodzę z pokoju, żeby się nie obudziła.

Wracam do kuchni. Otwieram szafkę, wyciągam blender i stawiam go na stole. Obieram jednego banana i wkładam do środka. Dodaję wody i łyżeczkę pyłku pszczelego. Myję i dorzucam garść jeżyn. Zatrzymuję się z przeczuciem, że o czymś zapomniałem. Myślę, myślę, aż przypominam sobie. Jeszcze łyżeczka siemienia lnianego i teraz mam pewność, że jest już wszystko co lubi. Wącham herbatę i patrzę na jabłka na stole. Piękne i nietknięte stwarzają wrażenie zabranych wprost z raju. W pewnym momencie wydaje mi się, że słyszę dźwięk szumiącej wody pod prysznicem – to muszą być sąsiedzi.

Spoglądam na zegarek: 9:25. Raz jeszcze zmierzam w kierunku jej pokoju. Znów delikatnie otwieram drzwi i wchodzę do rozświetlonego pomieszczenia. Wiem, że światło słoneczne musiało wpłynąć na jej sen, jednak było za słabe, aby całkowicie ją wybudzić. Na palcach przybliżam się do zestawu audio. Naciskam *on* i *CD*, przechodzę do utworu dziesiątego i naciskam *play*. To jej ulubiona piosenka minionego lata. Właściwie jest to wersja koncertowa, która rozpoczyna się przemową wokalisty:

It’s a nice happy song, kinda like a walk in the park, sun is coming through your window in the morning, and it’s a beautiful day… W czasie tego monologu prędko na palcach wychodzę z pokoju. Wracam do kuchni i podłączam blender do prądu. Z pokoju dochodzą pierwsze wersy piosenki:

When you’re talkin’ to yourself

And nobody’s home

You can fool yourself

You came in this world alone… Alone

Zdaję sobie sprawę, że muzyka jest wciąż zbyt cicha, żeby ją obudzić. Nakładam pokrywkę na blender, naciskam guzik i w jednej chwili nie słyszę już nic, prócz głośno pracującego urządzenia, nasion i pyłków kruszonych i ścieranych się pod naporem noży. Kilka jeżyn wypływa na powierzchnię. Dzięki swej lekkości

jeszcze przez chwilę uciekają przed nożami, lecz oczywiste jest, że nie znajdą w okrągłej misce rogu, za którym mogłyby się schować, i że ich daremny wysiłek potrwa jeszcze sekundę lub dwie, nim znikną w życiodajnym soku.

Gdy wyłączyłem blender, jej pokój wypełniały dźwięki solówki ulubionego gitarzysty. Jej sen jeszcze starał się przetrwać, uciec, lecz jasne jest, że w pokoju nie znajdzie schronienia, i że za sekundę lub dwie zniknie pod naporem gitarowej solówki.

Przelewam koktajl do dużej, wysokiej szklanki i idę do jej pokoju. Tym razem swobodnie otwieram drzwi. Czeka na mnie uśmiechnięta. Poznała moją strategię porannej pobudki: nie budzę jej osobiście, żeby nie być obecnym w chwili, kiedy otwiera oczy. Zostawiam tę brudną robotę do wykonania jej ulubionemu gitarzyście, na którego nie może się zdenerwować, między innymi dlatego, że gra jej ulubioną piosenkę, a jego plakat wisi nad jej łóżkiem. Poprawia się na łóżku i z oczami rozpromienionymi z zadowolenia przyjmuje szklankę z fioletowym gęstym koktajlem. Wypija kilka łyków.

– Jak się spało? – pytam, ale w tej samej chwili z głośników odzywa się piosenkarz:

Ladies and gentlemen, on the keyboards, Mr. Dizzy Reed.

Na te słowa podrywa się z łóżka, siada przed pianinem i zaczyna grać. Wykonuje piosenkę z uśmiechem na ustach i radością życia. Ubrana jest w jasnoniebieską piżamę w chmurki i księżyce. Cieszę się, widząc, jak gra. Przybliżam się i stawiam szklankę na instrumencie. Kiedy kończy się fragment piosenki z pianinem, robi pauzę i pije koktajl. Następnie przyłącza się jeszcze do końcowego fragmentu utworu, tym razem grając i śpiewając – nieco teatralnie:

I knew the storm was getting closer
And all my friends said I was high
But everything we've ever known's here,
I never wanted it to die.

Zegar w kuchni pokazuje 10:05. Z łazienki dochodzi szum prysznica. Siedzę i wpatruję się to w jabłka na stole, to w zegar, to wyglądam przez okno. Patrzę jeszcze na kalendarz ścienny. Dziś jest szczególny dzień – pierwszy września. Dzisiaj moja córka zostaje studentką. Mo-ja cór-ka… A jednak, kiedy ona beztrosko bierze prysznic, ja jestem tym, który odczuwa tremę. Ja jestem tym, który boi się drzwi wejściowych na uczelnię.

Przez minione dziesięć lat szczęśliwie ją omijałem, mimo że budynek znajduje się w najściślejszym centrum miasta. Trzymałem się z dala, omijałem go szerokim łukiem, czasem i nadmiarowym kilometrem drogi, jeśli było trzeba. Wszystko, żeby tylko nie znaleźć się na ulicy *Uniwersyteckiej*. Boję się uniwersytetu,

boję się wspomnień niesławnego końca mojej kariery i wspomnień dawnego życia. I teraz, po dziesięciu udanych latach unikania ulicy *Uniwersyteckiej*, decyduję się stanąć z nią twarzą w twarz i odprowadzić moją córkę do samego wejścia, w jej pierwszym studenckim dniu.

Córka zaskoczyła nas wszystkich tym, że będzie studiowała na wydziale filologicznym, ponieważ sądziliśmy, że wybierze muzykę. Tylko ja tak naprawdę pojąłem dlaczego: Akademia Muzyczna we Lwowie była słaba, a moja córka, nie chcąc mnie opuścić, nie zdecydowała się na Kijów ani na Moskwę. Moja córka, niezwykle uzdolniona w dwóch dziedzinach – muzyce i językach obcych – postanowiła wybrać drugą ze swoich pasji. Nigdy nie wątpiłem w jej wybitne zdolności. Z pewnością jej nieprzeciętny charakter ma związek z trudnym losem jej matki.

Szum prysznica ucichł. Spoglądam na zegarek: 10:15, i przypomina mi się, co mogę zrobić pod jej nieobecność. Prędko udaję się do swojego pokoju. Otwieram dolną z trzech szuflad i wyciągam różową kopertę. Wyjmuję z niej mniejszą, brązowawą, której dokładnego koloru nie sposób określić. Przyglądam się umieszczonemu na niej napisowi, a mój oddech staje się coraz cięższy. *Minęło tyle czasu* – pomyślałem.

Jedziemy po wyboistym bruku niedaleko uniwersytetu, a samochód trzęsie się, jakby miał się rozsypać. Zegar w radiu pokazuje 10:47. Z głośników leci *Dziewczyna z innego życia*[1]. Zmieniając bieg, zerkam na rozświetlone słońcem kolano mojej córki, które wygląda przez jej rozdarte jasne dżinsy. Nasze spojrzenia się spotykają i zaczynamy się śmiać bez powodu. Z dumą stwierdzam, że wspólny śmiech bez powodu jest największym dowodem naszej miłości.

Córka przypomina mi jej matkę, lecz z trudem znajduję w niej jakieś podobieństwa do mnie – jeśli już, to głównie w charakterze. Nie jestem jednak pewien, na ile te podobieństwa są wrodzone, a na ile (co bardziej prawdopodobne) wykształcone przez wychowanie i życie pod jednym dachem. Patrzę na jej nos i oczy, i uderza mnie myśl: jak niezwykle podobna jest do swojej matki.

Na skrzyżowaniu z zaciekawieniem patrzę w jej niewyspaną twarz, czekając, aż przejedzie samochód po prawej stronie. Wciąż ma jeszcze podpuchnięte oczy, co nadaje jej azjatyckiego wyglądu. Zdaje się senna. Pobudka o dziewiątej trzydzieści była dla niej szokiem. Dotąd, podczas wakacji, przed tym nieszczęsnym wrześniowym porankiem, kładła się późno i wstawała około południa.

Po dłuższej chwili oczekiwania przejeżdżam przez skrzyżowanie i po trzydziestu metrach wreszcie docieramy pod arkady uniwersyteckiego kampusu. Całuje mnie w prawy policzek i zręcznie wychodzi z samochodu. Na chodniku spotyka się z pożądliwym spojrzeniem trzech chłopaków. Idzie w kierunku drzwi

[1] Wielki hit z 2003/2004 roku. Piosenka z albumu *Supersimetrija* (2003 r.) ukraińskiego zespołu *Okean Elzy*. Oryginalny tytuł: *Дівчина із іншого життя.*

wejściowych i w półmroku pod pierwszą arkadą ogląda się za mną ostatni raz, tym razem zawstydzona, prawdopodobnie z powodu spojrzeń tych młodziaków. Krzyczę do niej z auta:

– Wiki, poszukam miejsca do zaparkowania! Zadzwoń, kiedy skończysz!

Jeszcze przez kilka chwil nie ruszam się z miejsca i patrzę przez arkady, wypełnione tłumami rozchełstanej młodzieży. Nagle słyszę jakby syreni głos i czuję, jak mury uczelni wciągają mnie i, niczym maszyna czasu, przenoszą daleko w przeszłość, kiedy byłem u szczytu swojej uniwersyteckiej kariery. Raz jeszcze odzywa się syrena i ponownie przypomina mi się mój niesławny koniec przygody z uniwersytetem. Syrena odzywa się trzeci raz, a ja wreszcie wracam do rzeczywistości.

Wybudzając się z retrospekcji, orientuję się, że dźwięk syreny nie pochodzi z maszyny czasu, lecz z trolejbusu za mną. Stoję na jego przystanku. „Zabieraj się stąd, idioto!”, krzyczy kierowca. Otwieram drzwi i wychodzę, nic nie mówiąc, z rękami ułożonymi w pozycji bojowej, ze zmarszczonymi brwiami i groźnym wyrazem twarzy, niczym samiec alfa stający w obronie rodziny, a tak naprawdę próbuję się po prostu wpasować w obraz naszego kłótliwego i sfrustrowanego społeczeństwa.

Wsiadam z powrotem do samochodu, wycieram pot z czoła i ruszam naprzód. Dojeżdżam do parku i dołączam do kolumny równolegle zaparkowanych na końcu ulicy samochodów. Stojąc na parkingu widzę, jak ciemnowłosa dziewczyna, poruszając się na rolkach, wkłada ulotki za wycieraczki wszystkich samochodów – jeden po drugim. Po chwili podjeżdża również do mojego auta, zauważa mnie w środku i, uśmiechając się, zostawia ulotkę. Zadziwia mnie sprawność, z jaką jej umięśnione nogi poruszają się na rolkach po wyboistej kostce. Przejeżdża do kolejnego rzędu samochodów.

Otwieram schowek po stronie pasażera i sięgam po dużą, różową kopertę. Otwieram ją i wyciągam mniejszą żółtawą. Chwilę przyglądam się wyblakłemu napisowi: *DLA MOJEJ CÓRKI*, a poniżej: *W PIERWSZY DZIEŃ NA UNIWERSYTECIE*. Małą kopertę wkładam do kieszeni. *Minęło tyle czasu*, pomyślałem. *Tyle czasu, a ja wciąż pamiętam każdy szczegół ze swoich ostatnich dni na uczelni.* Pogrążam się w myślach, z których wyciąga mnie przejeżdżający trolejbus.

OCZEKIWANIE

Był grudzień 1986 roku – Ukraina przeżywała właśnie najczarniejszy okres w swojej historii. Promieniowanie z Czarnobyla nie przestawało zbierać śmiertelnego żniwa, z tą różnicą, że zabójca, kilka miesięcy po katastrofie, stał się mniej rozpoznawalny. Media upatrują przyczyny w rzekomych przewlekłych chorobach ofiar, żeby jakoś złagodzić ból w narodzie – kłamią, że katastrofa to już pieśń przeszłości. Do Lwowa przyjeżdżają ludzie, którzy mieszkali w strefie skażonej, część z nich przyjęła śmiertelną dawkę. Nazywamy ich „czarnobylcami”, bez znaczenia, czy byli z samego Czarnobyla i czy w ogóle byli napromieniowani. Tej jesieni jadło się zdecydowanie mniej owoców. Odkąd odkryto, że na targowiskach sprzedawane są zbiory z zamkniętej zony wokół Czarnobyla, ludzie przestali ufać nawet tym z własnego ogrodu.

Wtorek, 16 grudnia 1986

W auli numer 224 na głównym kampusie uniwersyteckim we Lwowie brakowało dziesięciu stopni Celsjusza, żeby temperatura była przyjemna i dziesięciu studentów do pełnego stanu grupy. Przyszło ledwie trzydziestu z czterdziestu. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, dlaczego i myślałem o tym, jak tych pozostałych dziesięciu uczniów zamierza zdać sesję bez podchodzenia do egzaminu.

Oczy obecnych na sali śledziły każdy mój najdrobniejszy ruch, próbując odgadnąć jego znaczenie. *Jest spokojny! – Nie jest spokojny! – Jest nerwowy!* – dało się słyszeć szepty studentów, zatraconych w tremie przed egzaminem. Prowadziłem dla nich wykłady przez trzy semestry. Tego grudniowego poranka nie obawiali się mnie, lecz mojego niewzruszonego obiektywizmu. Wiedzieli, że jeśli jestem w dobrym nastroju, mogą przynajmniej próbować przekonać mnie swoim uśmiechem.

Grupa liczyła trzydzieści osiem dziewczyn i dwóch chłopaków. Tego dnia nieobecnych było dziesięć dziewcząt. Większość z nich miała po osiemnaście lat, ponieważ zapisały się na studia w wieku siedemnastu, a niektóre nawet i szesnastu lat. Studenci siadali trójkami w pierwszych ławkach, każdy odpowiadał na dwa pytania, wystawiałem oceny i obserwowałem emocje na ich twarzach. Przed wpisaniem noty, sprawdzałem swój podpis za pierwszy semestr. Otrzymywali go tylko studenci, którzy zaliczyli kolokwium i konsekwentnie przychodzili na zajęcia. Za drugi semestr nie było oceny. Większość z moich studentów znałem dobrze i nie miałem potrzeby, żeby sprawdzać podpisy – wiedziałem, że są sumienni.

Można powiedzieć, że w tamtej chwili los tej trzydziestki młodych ludzi był w moich rękach. Nie mówię, że od mojego egzaminu zależało ich życie, ale mam prawo twierdzić, że bożonarodzeniowe ferie – z pewnością tak. Były to chwile mojej pewnej dominacji i nikt nie mógł wówczas przypuszczać, że wszystko

obróci się przeciwko mnie. Mogłem decydować, któremu studentowi zniszczyć ferie, ale w żadnym razie nie mogłem przewidzieć, że któryś ze studentów zepsuje ferie mi.

W połowie egzaminu zauważyłem w grupie jedną studentkę, co do której byłem pewny, że nie zaliczyła kolokwium. Zaskoczyło mnie, że mimo to siedzi z grupą na egzaminie. Pomyślałem, że być może zamierza przeczekać do końca, spróbować porozmawiać ze mną na osobności i postarać się przekonać mnie błaganiem lub jakąś nieprzyzwoitą propozycją. Siedziała w ostatniej ławce i wodziła swoimi jasnoniebieskimi oczami po sali. Stwierdziłem, że nie będę się jej czepiał, jeśli nie poprosi mnie o zaliczenie, ponieważ egzamin i tak był otwarty i każdy mógł przyjść. Miałem złe przeczucia co do jej obecności.

W międzyczasie studentki ustawiły się w kolejce. W pierwszej turze podeszły trzy, odebrały indeksy, a w ich miejsce podeszły kolejne. Dziewczyna z jasnoniebieskimi oczami, ku mojemu zaskoczeniu, przyszła wraz z dwiema innymi. Upadła więc moja teoria, że poczeka do końca egzaminu. Czyli nie było dla niej istotne, czy porozmawia ze mną w cztery oczy. Zanim zacząłem zadawać pytania, poprosiłem dziewczęta o indeksy do weryfikacji. Jako pierwszy otworzyłem, rzecz jasna, dokument tajemniczej studentki. Z czarno-białego zdjęcia patrzyły na mnie te same nieśmiałe oczy, które obserwowały mnie w tamtej chwili na żywo. Przeczytałem imię studentki: *Lida Jaremczuk*. Poszukałem miejsca, w którym powinien znajdować się mój podpis, z zamiarem szybkiej eliminacji dziwnego przypadku. Tymczasem zamiast pustego miejsca, niespodzianka: w moim nazwisku ostatnie pociągnięcie długopisu w literze *K* wygląda nienaturalnie, bardziej drżące niż takie, jakie zawsze piszę.

– Ten podpis nie jest mój – twardym, profesorskim tonem zaskoczyłem studentkę, która usiadła, żeby odpowiedzieć.

W jednej chwili nastała absolutna cisza.

Lida milczała.

– Ma pani sfałszowany podpis, a ja bardzo dobrze pamiętam, że nie zaliczyła pani kolokwium.

Nawet kiedy milczała, Lida w ogóle nie wyglądała na przestraszoną, i tylko z wielkim trudem dało się dostrzec na jej twarzy nutę zawstydzenia.

– Ale wie pan… – odezwała się skrępowana.

– Co wiem? Proszę wziąć indeks i odejść, jeśli nie chce pani większych kłopotów – kontynuowałem ostrym tonem.

Zwróciłem jej dokument, lecz ona zamiast wstać i odejść, oddała mi go i powtórzyła.

– Proszę sprawdzić jeszcze raz. Musiał pan zapomnieć.

I znów tylko róż na jej twarzy świadczył o delikatnym zawstydzeniu. Patrzyła na mnie, jakby chciała mi coś powiedzieć na osobności, lecz straciłem cierpliwość – nie było czego sprawdzać, bo niczego nie

zapomniałem! Sytuacja była całkowicie jasna: studentka Lida zgłosiła się z fałszywym podpisem, zauważyłem to, mogłem wnieść sprawę do dziekanatu, ale ponieważ jestem dobry, nie będę tego ciągnął, po prostu odeślę ją bez zaliczonego egzaminu.

– Chce pani, żebym zgłosił sprawę do dziekanatu, żeby miała pani większe problemy?

Lida nieoczekiwanie przyjęła dumny wyraz twarzy, jakby próbowała odebrać mi moją dominację.

– Przyszłam tu, żeby zaliczyć egzamin i go zaliczę! Mam podpis za poprzedni semestr. – Lida zdecydowanie przekroczyła granicę.

Takie przejawy dumy były w ówczesnej USSR[2] traktowane szczególnie srogo. Tego typu przestępstwo, jak fałszowanie podpisu profesora, było wręcz niewyobrażalne. Nie wytrzymałem, zabrałem indeks i wyszedłem, zostawiając pozostałych dziewięciu czekających studentów. Odniosłem indeks do dziekanatu i szczegółowo wyjaśniłem sytuację sekretarce, ponieważ dziekan w tamtej chwili był nieobecny. Gdy wróciłem, Lidy już nie było w auli, zatem kontynuowałem egzamin. Postarałem się nieco wszystko skrócić i wkrótce skończyliśmy.

Wracając do domu, mimo że nie chciałem, myślałem o sytuacji z tamtą studentką – Lidą Jaremczuk. Jakieś złe przeczucie w związku z tym incydentem nie dawało mi spokoju. W miarę jak zbliżałem się do domu na ulicy *Piekarskiej,* coraz bardziej moje myśli zajmowały słowa Lidy – *Proszę sprawdzić jeszcze raz. Musiał pan zapomnieć.* – Pomyślałem sobie: *Co za nonsens!* Gdy wszedłem wreszcie do czteropiętrowego budynku na ulicy *Piekarskiej*, nie miałem ani nadziei, ani nawet ochoty, żeby cokolwiek przed żoną ukrywać.

– O, super, że wróciłeś! Zrobić ci herbatę? – zapytała mnie Julija, całując na powitanie.

Piliśmy herbatę i wszystko dokładnie jej opowiedziałem.

– Dobrze zrobiłeś, że poszedłeś do dziekanatu. – dodała mi otuchy.

– Nie chciałem być za ostry, ale sama do tego doprowadziła. Przez taką głupotę wyleci ze studiów.

– Nie masz najmniejszego powodu, żeby mieć wyrzuty sumienia. A i to jej: *Proszę sprawdzić jeszcze raz, pewnie pan zapomniał*, to czysta głupota. Wiesz, że tak naprawdę to jeszcze dzieciaki. – powiedziała Julija, siadając mi na kolanach. Poczułem ciepło i spokój wypływające spod jej grubej, bawełnianej piżamy.

Zdałem sobie sprawę, że Julija zawsze wie, czego potrzebuję, zwłaszcza po ciężkim dniu. Działała na mnie trochę niczym ładowarka do telefonu. Byłem na zewnątrz, wyczerpałem się, więc wracałem do domu i „podłączałem się” do Juliji. Powinienem być wtedy wdzięczny za to, co miałem.

[2] Ukraińska Socjalistyczna Republika Radziecka

Poznałem Juliję w czasach studenckich. Zauważyłem ją już pierwszego dnia i z goryczą w duszy patrzyłem na nieosiągalne: jej usta, talię, tyłek, wpatrywałem się w każdy centymetr jej ubrania i byłem pewien, że nie ma na świecie piękniejszej dziewczyny. Nie kłamałem wówczas, że była poza moim zasięgiem. W czasach studenckich nic się między nami nie wydarzyło. Ledwie kilka razy udało mi się spojrzeć jej w oczy. Była lwowianką, mieszkała na jednej z najładniejszych ulic w pobliżu centrum miasta. Gdy budziła się rano, od wykładów dzieliło ją jeszcze okazałe śniadanie podane na drogiej porcelanowej zastawie, kąpiel w ciepłej wodzie, ubranie się w zagraniczne ciuchy i piętnaście minut piechotą na uczelnię. Mnie natomiast od wykładów dzieliła pobudka ze śmierdzącym oddechem i skarpetkami trójki moich współlokatorów w akademiku, stęchłe, niedogrzane śniadanie wyciągnięte ze słoika na aluminiowy talerz, spłukanie twarzy lodowatą wodą z wiadra i pół godziny gniecenia się w zapchanym autobusie. Julija miała dawne arystokratyczne pochodzenie – jej nazwisko dużo znaczyło we Lwowie. Ja z kolei przyjechałem z podkarpackiej wiochy. Nie byłem na tyle odważny, żeby przykuć jej uwagę. Zamiast tego, moje szanse drastycznie zmniejszało zawstydzenie, które przejmowało nade mną kontrolę, ilekroć próbowałem z nią porozmawiać – miało to miejsce średnio raz na semestr. Być może udałoby mi się pokonać swoją nieśmiałość podczas jednej z wielu imprez w akademiku, na których wódka lała się litrami, gdyby tylko Julija na nich bywała. A tak, pozostawał mi tylko widok jej pleców, gdy siedziała w trzeciej ławce i oczekiwanie, aż zaszczyci mnie swoim profilem, odwracając się do koleżanki obok. Czasami zaciskałem zęby i krew uderzała mi do głowy. *Czyżbym całe życie miał dla niej pozostać jedynie nic nieznaczącym prostakiem?* Chciałem coś zmienić. Za wszelką cenę.

Środa, 17 grudnia 1986

Dzień po zajściu ze studentką i sfałszowanym podpisem nie zdążyłem jeszcze ubrać płaszcza, kiedy dyrektor katedry przyszedł do mnie i powiedział:

– Proszę pilnie udać się do dziekanatu. Dziekan pana oczekuje, dzwonił dwukrotnie.

Poszedłem od razu i, chociaż nie miałem się czego obawiać, to jednak, pokonując kolejne korytarze, czułem się, jakbym zmierzał przed komisję dyscyplinarną.

Sekretarka, zawsze wesoła i atrakcyjna, milcząco wskazała mi drzwi do biura. W jej geście wyczułem ukrytą złość.

Dziekan wyjaśnił mi, że o poranku poinformowano go o sytuacji ze studentką, co go zaniepokoiło.

– Wie pan, że my z takimi studentami się nie cackamy. Sfałszowanie podpisu to nie jest byle wybryk. Zwykle takich uczniów wyrzucamy od razu. Dziś zażądaliśmy od studentki, żeby napisała oświadczenie i przekazała nam je najpóźniej do jutra. Pojutrze to już nie będzie nasza studentka. Zobaczymy jeszcze, czy jest

to przypadek do zgłoszenia na policję, ponieważ fałszowanie podpisu… cóż, za to można nawet iść do więzienia. – Wiedziałem, że przesadza z tym więzieniem, nawet przy całej surowości sowieckiego reżimu. – W sprawozdaniu końcowym było puste miejsce i sekretarka powinna była zauważyć, że podpis jest tylko w indeksie, a nie ma go w sprawozdaniu.

Wtedy zrozumiałem, skąd ta złość u sekretarki. Dokładnie tak: indeks nie był jedynym dokumentem, gdzie składaliśmy podpisy. Pod koniec semestru wypełnialiśmy sprawozdanie końcowe. Oprócz mojego słowa, najlepszym dowodem na sfałszowany podpis było właśnie sprawozdanie. Wina za przeoczenie spadła na sekretarkę, a ona w konsekwencji złościła się na mnie, bo doprowadziłem do odkrycia jej zaniedbania. Z drugiej strony, Oksana była pryncypialna i absolutnie nie pasowała do kategorii urzędniczek, które w ZSRR nazywaliśmy „biurwami”. Z pewnością nie było jej przyjemnie z powodu tego błędu.

To było wszystko, czego dziekan ode mnie chciał. Wymieniliśmy jeszcze między sobą cicho kilka uwag. Dziekan już wcześniej pokazał, że mnie szanuje i nawet jeśli wydawał się nieprzyjazny, to dlatego, że jakaś studentka zrobiła taki wybryk i naruszyła mój naukowy spokój, a wina tak jakby była częściowo jego.

Wróciłem do swojej katedry. Po rozmowie złe przeczucia mnie opuściły i reszta dnia minęła mi jak wszystkie pozostałe. Miałem dwa wykłady z adeptami studiów magisterskich i dobrze się podczas nich bawiłem – uczestniczyły w nich akurat inteligentne studentki, które wsłuchiwały się w każde moje słowo.

Siedem lat pracy nauczyciela akademickiego nauczyło mnie pewnych sposobów na zdobycie szacunku wśród studentów. Moim największym atutem pedagogicznym było to, że potrafiłem wejść w ich umysły, stanąć na ich miejscu i zobaczyć siebie z ich perspektywy. Mój ulubiony profesor, później również kolega, mój lingwistyczny idol, który niestety w 1986 roku już na katedrze nie wykładał, mówił mi, że w szachach wygrywa ten, kto przewidzi więcej ruchów. A więcej ruchów przewidzi ten, kto ma większy dar wchodzenia do umysłu przeciwnika, żeby zobaczyć szachownicę jego oczyma, żeby niejako tę szachownicę odwrócić. Profesor przekonywał mnie, że jest to zasadniczo kluczowa umiejętność do właściwego porozumiewania się z innymi ludźmi przez całe nasze życie. „Zobacz, na przykład, kiedy masz dziecko, czyż nie jest najważniejsze, żebyś potrafił świat dojrzeć jego oczyma? Tylko w ten sposób zrozumiesz jego potrzeby. Nie jest dobrym rodzicem ten, który wciąż tylko krzyczy i żąda od dziecka, by siedziało cicho jak dorosły. Taki rodzic nie potrafi odwrócić szachownicy. Jest jak szachista matowany w trzech ruchach, ponieważ w ogóle nie obserwował, jak poruszały się figury przeciwnika. Drugi przykład: kiedy masz starszych rodziców, żyjesz własnym życiem i zostawiłeś ich gdzieś na wsi. Ciągle nie masz czasu, przyjeżdżasz do nich raz w roku i przywozisz im cuda na kiju, a nie rozumiesz, że jedyne czego im trzeba to ty sam. Taki syn nie potrafi odwrócić szachownicy. Trzeci przykład: kto odnosi sukces z kobietami? Czyż nie jest to mężczyzna, który potrafi stać się kobietą, który potrafi odwrócić szachownicę, lub w sytuacji łóżkowej, dostrzega, dlaczego kobieta jest zła? Tylko wtedy

będzie wiedział, jaka drobnostka mogłaby poprawić jej nastrój. I teraz, kto jest dobrym profesorem, drogi Iwanie?” – zabawnie podsumowywał profesor Pirowski. Chóralnie odpowiadaliśmy: „Ten, który potrafi odwrócić szachownicę”. „I wejdzie w młode umysły swoich podopiecznych. Tylko wtedy będzie szanowany, tylko wtedy czegoś ich nauczy” – dopowiadał Pirowski.

Czwartek, 18 grudnia 1986

Następnego dnia ponownie wezwano mnie do dziekana. Szedłem tam spokojny, napięcie minęło. Tylko trochę było mi żal, że z powodu mojej pedantyczności, jedna ze studentek będzie musiała opuścić uniwersytet. Sekretarka przywitała mnie gestykulując, ale dała mi do zrozumienia, że złość już jej minęła.

– Usiądź Iwan – powiedział dziekan, a w jego głosie mogłem zauważyć niewielką zmianę tonu w porównaniu do tego, jak rozmawiał ze mną wcześniejszego dnia.

– Dzisiaj rano studentka Lida przyniosła do mnie oświadczenie – Dziekan zakaszlał, na znak że zaczyna czytać, żeby przygotować mnie do słuchania.

Oświadczenie

Ja, Lida Jaremczuk, studentka drugiego roku Wydziału Filologicznego, składam wyjaśnienie w związku z fałszywym podpisem prof. Iwana Kowalenko w moim indeksie.

Nie odrzucam możliwości podrobienia podpisu, ale informuję, że 16 grudnia kiedy prof. Kowalenko zobaczył podpis, nie wiedziałam, że mógł być podrobiony. Nie otrzymałam go osobiście, tylko za pośrednictwem studentki z mojej grupy Ołesji Żołobowicz. Ołesia powiedziała całej grupie, że pozostaje w intymnym związku z prof. Kowalenko. Z powodu choroby nie mogłam być obecna w dniu, kiedy profesor podpisywał indeksy. W czasie przerwy zimowej Ołesia Żołobowicz powiedziała, żebym dała jej indeks i obiecała że nie będzie żadnego problemu i że przekona prof. Kowalenko, aby podpisał się w moim indeksie podczas kolejnego spotkania. W kwietniu Ołesia oddała mi podpisany indeks. Byłam naiwna i wierzyłam, że podpis jest prawdziwy. Przyznaję się do błędu, dałam się oszukać. Ale w życiu już tak jest, że możemy być oszukani, ale nie zawsze musimy ponosić tego konsekwencje. Czasami powinien je ponieść oszukujący. Nie mam zamiaru wskazywać go palcem, ale wiem, że stałam się ofiarą czyjejś gry. Jestem przygotowana na pogodzenie się z decyzją dziekana, jakakolwiek by nie była.

Z wyrazami szacunku
Lida Jaremczuk

Gdy dziekan skończył czytać, nie komentował nic, tylko śledził moją reakcję. Nie wiedziałem co powiedzieć, wyjaśnienie złożone przez studentkę odjęło mi mowę.

– Czego jeszcze nie wymyślą – wybuchnąłem chwilę potem. – Po pierwsze nie jest prawdą, że z powodu choroby nie mogła przyjść po zaliczenie. Przyszła, ale go nie otrzymała z powodu niezdanego kolokwium i dużej ilości nieobecności na zajęciach. Nie rozumiem, jak może udawać taką naiwną. Ona była oszukana? I dlaczego wymyśliła to, że spotykam się ze studentką?

– Właśnie, tak bywa… diabeł siedzi w tych dzisiejszych studentach – poparł mnie dziekan. – Wiadomo że nie wierzę w nic z tego pisma, ale teraz musimy wyjaśnić tę sytuację między tymi dwiema studentkami: Lidą i …jak nazywała się ta druga… jakaś Ołesia. Jeśli Lida naprawdę została oszukana, nie wiem co zrobimy. Może najsprawiedliwiej byłoby obie wyrzucić z uczelni. A jaka jest ta Ołesia?

– Nie znam jej dobrze, wiem tylko że w ostatnim semestrze nie pojawiła się na żadnych zajęciach. Nawet nie wiedziałem, że nadal studiuje.

– Poleciłem sekretarce, aby ją tutaj wezwała i zobaczymy co powie, a wtedy zdecydujemy, wobec której wyciągniemy konsekwencje. Jeśli prawdą jest to, co napisała Lida, wtedy, według mnie, gorsze jest wykroczenie Ołesji. Nie tylko oszukała koleżankę z grupy, ale także nie możemy pozwolić na to, by wymyślała romanse z profesorami. Chodzi o naszą reputację.

– Dziękuję – powiedziałem. – Proszę przemyśleć co zrobić z tą Ołesjią i będziemy w kontakcie.

– Oczywiście. Ma przyjść dzisiaj lub jutro.

Przy wyjściu pożegnałem się z sekretarką, ale z jej „do widzenia” odczytałem, że cieszy ją moje nieszczęście.

Kiedy wracałem do domu, byłem całkowicie przygnębiony nowym biegiem wydarzeń ze sfałszowanym podpisem, tym, że sprawa nabiera rozpędu. Dodatkowo chłód i gołe gałęzie drzew w alei przy ulicy *Piekarskiej,* wywoływały u mnie depresję. Poczułem się jak dziecko, które chce być przytulone przez mamę – tak naprawdę chciałem jak najszybciej wrócić do domu i miałem nadzieję, że tam przytuli mnie Julija.

Zanim zacząłem opowiadać, Julija sama zapytała „Co zrobiliście z podrabiaczką?” Opowiedziałem co się stało, zacytowałem treść oświadczenia, z którego nie zapomniałem prawie niczego. Moje małżeństwo z Julią opierało się na zaufaniu i wiedziałem, że nie pomyśli, że w jego części może być trochę prawdy. Ale byliśmy trochę zaniepokojeni.

– Ważne jest, że ty jesteś czysty przed sobą i innymi. Nie ma w tym ani grama twojej winy. A dziekan niech podejmie decyzję. Według mnie obie studentki powinny być usunięte z uczelni – pocieszała mnie i siebie Julija.

Tak naprawdę, to oboje wiedzieliśmy, że to, że nic mnie nie łączyło ze studentką i romans był wymyślony, nie wystarczy by spać spokojnie. Byliśmy świadomi, że cała ta sytuacja może rzucić cień na moje dobre imię i latami będzie ciężko to zmienić. Uniwersytet jest taką instytucją, że jeden wymyślony romans pomiędzy 34 –letnim profesorem i 17- letnią studentką wywoła plotki wśród trzydziestu wykładowców i około trzystu studentów, bo tylu wtedy było na wydziale filologicznym, a temat był tak interesujący, że każda studentka opowie o tym innej na innym wydziale. Każdy uwierzy, że to prawda, a moim zadaniem będzie udowodnienie, że tak nie było.

Jeszcze większy będzie to szok dla żony takiego profesora. Właśnie to tak oburzało Juliję. Mogłem to wyczytać z jej twarzy. „Jej mąż oglądał się za studentkami!” – pewnie już to dźwięczało jej w uszach. Gdyby to wydarzyło się w innym mieście, na przykład w Kijowie, pewnie minęłoby bezboleśnie. Ale Lwów był miastem plotek i właśnie one były tym, co tworzyło i utrzymywało dynamikę życia społecznego w mieście. Brało się pod uwagę opinię publiczną i złośliwe, bezlitosne plotki zniszczyłyby reputację Julii i jej arystokratycznej rodziny bardziej niż moją – przybysza z podkarpackiej wsi. Przed oczami Juliji pojawiły się obrazy współczucia okazywane jej przez lwowian.

– Tak to się dzieje, jak nie jest się srogim wobec studentów. Myślisz, że możesz z nimi współpracować, że cię rozumieją. Oto zrozumienie. I tobie też może się zdarzyć coś takiego! Dla studentów powinieneś być jak żandarm.

Byłem bezsilny i nie mogłem zareagować na słowa Juliji. W pierwszej chwili pomyślała, że moje dobre imię jest w niebezpieczeństwie i wtedy mnie pocieszała. Potem doszła do wniosku, że jej reputacja jako żony zhańbionego profesora także jest zagrożona. Wtedy przestała mnie pocieszać i napadła na mnie.

Byłem zmęczony i chciałem się jak najwcześniej położyć. Julija nie przytuliła mnie. Zamiast wsparcia, miałem kłótnię, w której nie chciałem uczestniczyć. To zezłościło ją jeszcze bardziej i nie rozmawialiśmy już tego wieczoru.

Leżąc w łóżku, przypomniałem sobie okres po zakończeniu studiów. Był 1976 rok, kiedy po dwóch latach spotkaliśmy się z grupą ze studiów. Dwuletnia przerwa spowodowała że zapomniałem, jak zawsze paraliżowała mnie uroda Juliji. Czułem, że w końcu mogę z nią normalnie rozmawiać. Wystarczyły mi dwa kieliszki wódki, by przełamać strach. Większość dziewczyn z grupy była już mężatkami. Ja w tym czasie zadbałem o siebie, poskromiłem nieposłuszne włosy, schudłem, a za pieniądze które zarabiałem na uczelni jako młodszy pracownik, kupiłem sobie kilka modnych ciuchów. Najprawdopodobniej zmieniłem też swój sposób bycia, moje ruchy były pewne, wyczuwało się z nich wiarę w siebie i doświadczenie nabyte dzięki nielicznym związkom miłosnym.

Po kawie w kawiarni na ulicy *Ermenskiej*, Taras zaprosił nas do mieszkania, które wynajmował w centrum miasta. Wiadomo było, że spotkanie skończy się upojeniem alkoholowym, które najlepiej przypomni nam czasy studenckie. Julija, ku naszemu zdziwieniu, także przyjęła zaproszenie. W trakcie pierwszej butelki wódki i rozmowy na temat kobiet, które jeszcze nie wyszły za mąż, Taras powiedział: „Myślę, że Julija i Iwan pasują do siebie. Muszą spróbować być razem”. Mnie oczywiście ten pomysł się spodobał, ale ważniejsza była reakcja Juliji. Z jej twarzy wyczytałem zdziwienie, ale także zaciekawienie. Była zaskoczona, jak wiele się zmieniło i że to, co dawniej wydawało się jej niemożliwe, teraz jest jej pragnieniem. Umówiliśmy się na spotkanie w ciągu najbliższych kilku dni.

Spotkaliśmy się po dwóch tygodniach, ale tak całkiem przypadkiem. Zobaczyłem ją jak szła przez rynek ze swoim nowym chłopakiem. Wyglądał na boksera, więc musiał być jej sąsiadem, bo w tym czasie mieszkańcy ulicy *Piekarskiej* zajmowali się boksem. Widok ten wywołał u mnie zazdrość i inne niedobre uczucia. W złości poszedłem do Tarasa, żeby wyciągnąć go do baru i zapomnieć o tęsknocie za Juliją. Wiadomo, że dobry przyjaciel nigdy nie zostawi w potrzebie.

Piątek, 19 grudnia 1986

Następnego dnia miało mieć miejsce wystąpienie świadka koronnego – Ołesji Żołobowicz. Był piątek i miałem nadzieję, że ta cała farsa w końcu się skończy i spędzę przyjemny weekend z Juliją. Kiedy wszedłem do katedry, nie spieszyłem się z pytaniami. Zdecydowałem, że poczekam, aż powiadomią mnie o rezultacie rozmowy. Jednak czas mijał, a mnie nikt nie szukał. Myślałem, że kierownik katedry powie mi, że dziekan mnie szukał, ale on nawet nie zwrócił na mnie uwagi, gdy wszedłem.

Pierwsze zajęcia poprowadziłem rozkojarzony, ponieważ w głowie miałem cały czas myśl, czy Ołesia Żołobowicz już zeznawała, co powiedziała? Po zajęciach nie wytrzymałem i poszedłem do dziekanatu. Przywitała mnie atrakcyjnie ubrana sekretarka.

– Dziekan wyszedł, czy coś przekazać?

– Oksano, wiem że dzisiaj miała być wezwana studentka – mówiłem delikatnym głosem aby przymilić się sekretarce.

– Ołesia Żołobowicz, tak. Szukam jej od rana, ale jakby się pod ziemię zapadła. Inni profesorowie poinformowali mnie, że nie pojawiła się w tym semestrze na zajęciach, tak jak u Was. W akademiku też nic mi nie powiedzieli, ponieważ mieszkała tam tylko w pierwszym semestrze. Od drugiego semestru mieszkała w centrum, na ulicy *Stefanika*. Rozmawiałam nawet z właścicielką mieszkania, ale powiedziała mi że się wyprowadziła przed końcem minionego roku akademickiego. W domu nie mogę jej szukać, ponieważ jej

rodzina jest z Prypeci.[3] Zobaczymy, może któryś ze studentów będzie coś wiedział, ale dzisiaj już skończyli zajęcia. Zapytamy w poniedziałek.

Sekretarka, która za pierwszym razem była na mnie zła, a za drugim cieszyła się z mojego nieszczęścia, tym razem powiedziała mi szczerze jak realnie wygląda sytuacja. Pozostało mi czekać do poniedziałku. Dalej miałem złe przeczucia.

W czasie obiadu do katedry przyszła Marta i zaproponowała, byśmy wspólnie zeszli do stołówki. Marta była profesorem literatury ukraińskiej. Przed czterema laty miała jakieś plany względem mnie, ale jak się ożeniłem to zostaliśmy przyjaciółmi, chociaż czasami czułem, że jest na mnie zła. Usiedliśmy w części dla wykładowców. Zamówiliśmy barszcz, a stojąc w kolejce Marta szepnęła mi do ucha:

– Jak było z tą studentką? Bodenko chodził nerwowy cały poranek.

– Jaki związek ma Bodenko z tą sprawą? Dlaczego się denerwował? Zapytałem zaskoczony.

– Odpowiedz mi pierwszy, jak było z tą studentką?

Na drugie danie wzięliśmy kaszę gryczaną ze stekiem. Nie odpowiedziałem, ponieważ sytuacja była na tyle skomplikowana, że nie mogłem jej opowiedzieć w kolejce po herbatę i do kasy. Kiedy usiedliśmy opowiedziałem wszystko Marcie.

– A to dlatego Bodenko mruczał, że uczeń przerósł mistrza – powiedziała Marta.

– Co!? - zawołałem.

Marta zrobiła krótką przerwę, łagodnie podśmiewując się, żeby mnie uspokoić.

– Nie przejmuj się, czego innego mogłeś się po nim spodziewać? Musi kogoś nienawidzić. A teraz, kiedy udało mu się wyeliminować Pirowskiego, chce zniszczyć twoją reputację. Ta studentka spadła mu jak z nieba.

W 1985 roku rozwinęła się duża rywalizacja pomiędzy moim mentorem Pirowskim i Bodenką, który w 1986 roku został szefem katedry. Zarówno na polu zawodowym jak i prywatnym było to jak starcie giganta z krasnoludem. Pirowski był wspaniałym lingwistą i politologiem i nie tylko najlepszym naukowcem katedry, ale także uwielbianym przez studentów. Mobilizował nas do organizowania dla nich dodatkowych aktywności. Kiedy widział w kimś potencjał, organizował dla niego indywidualne zajęcia. Tak było ze mną: zostałem naukowcem tylko dzięki niemu. On mnie odkrył. Jego działania wzbudzały zawiść i zazdrość u Bodenki. Pojawiła się między nimi chora rywalizacja, przede wszystkim o stanowisko szefa katedry. Pewnego dnia Bodenko wykorzystał fakt, że Pirowski umawiał się na indywidualne zajęcia z utalentowaną studentką.

[3] Prypeć stanowił strefę zabronioną, z której wszyscy mieszkańcy byli ewakuowani po awarii w Czarnobylu pod koniec kwietnia 1986r.

Poskarżył się w dziekanacie, że kiedy wrócił do katedry (po testy studentów), drzwi od sali 224 były zamknięte, a ze środka było słychać miłosne igraszki. Nikt z katedry nie wierzył Bodence, ale udało mu się przekonać dziekanat. Wiadomo już co było potem. Takie romanse były poważnie traktowane w Związku Radzieckim. Pirowski stracił pracę i dach nad głową i w 1986 roku przeżył tylko dzięki mojej pomocy.

– Bodenko nienawidzi każdego, kto może być jego konkurentem – dodałem

– Myślałam, że masz świadomość tego, że jak nie ma Pirowskiego to ty stałeś się jego największym rywalem. Może teraz nie możesz mu zagrozić, ale za cztery lata, kiedy będą wybory szefa katedry…Nie możesz się dziwić, że wykorzysta każdą sytuację, żeby zniszczyć twoją reputację.

– Boję się, żeby nie zrobił mi tego samego co Pirowskiemu.

– Biorąc pod uwagę to co mi powiedziałeś, nikt nie ma dowodów, żeby ci zaszkodzić. To, że zgłosiłeś podrobiony podpis jest najlepszym dowodem na to, że nic cię nie łączy ze studentką Ołesjią i że nie mogła ci przynieść indeksu innej studentki. Jest jasne jak słońce, że Ołesia manipulowała innymi i kłamała. Nie masz się o co martwić.

Po chwili milczenia Marta dodała coś, o czym bym nie pomyślał:

– Wiesz o czym sobie pomyślałam: to zdobycie podpisu dla koleżanki może mieć motywy. Może Ołesia zaproponowała jej, że weźmie twój podpis tylko dlatego, by udowodnić, że jesteście razem. Dlatego Lida napisała w doniesieniu, że Ołesia opowiadała że jesteście w zwiazku, co oznacza że wymyśliła to, aby się chwalić. Ale to nie był jedyny motyw. Myślę, że Ołesia nie rozdawała podpisów za darmo.

– Co masz na myśli? – zapytałem

– Myślę, że brała łapówki.

Poczerwieniałem z gniewu. Marta powiedziała coś, co było oczywiste od samego początku. Ołesia rozpowiadała że jest ze mną w związku i że może załatwić zaliczenie mówiąc jednocześnie ile to będzie kosztowało. Przedstawiała się jako moja dziewczyna, ale jednocześnie jako pośrednik. Jak mogłem tego nie przewidzieć?

Weekend 20 – 21 grudnia 1986

Marzyłem o spokojnym weekendzie z Juliją, ale się nie udało. Z powodu jej wrodzonej skłonności do dramatyzowania, Julija coraz bardziej się niepokoiła.

Niedzielny poranek był poświęcony Bogu. To była przedostania niedziela przed Świętami Bożego Narodzenia i umówiliśmy się z Juliją że wtedy pójdziemy do spowiedzi. Po pierwsze dlatego, że istniało

niebezpieczeństwo że nie zdążymy, jeśli zostawimy to na kolejną niedzielę, a po drugie, dlatego że przeżyliśmy ciężki okres z powodu skandalu ze studentką. Tak mi to wyjaśniła Julija.

Idąc wzdłuż sztucznego jeziora, zerkałem na jej twarz i rozmyślałem. Brązowe włosy i naturalny makijaż ukrywały spuchniętą twarz. Wyglądała atrakcyjnie w świetle śniegu, ale widać było, że jest na mnie zła.

– Wyjaśnisz wszystko ojcu Stepanowi, może poradzi nam coś mądrego – tłumaczyła mi jakbym był jej synem.

W tym momencie odechciało mi się spowiedzi, ale jeśli to miałoby sprawić, że Julija będzie szczęśliwa to nie mogłem nie spełnić jej prośby. Tak właściwie to zacząłem chodzić do spowiedzi po ślubie z nią.
Kiedy dotarliśmy do cerkwi pw. Św. Jerzego, podeszliśmy do ołtarza. Julija uklęknęła przed obrazem Bogurodzicy z Jezusem i pokazała mi, żebym klęknął obok niej. Uklęknąłem w pozycji do modlitwy, jakbym się modlił w ciszy, ale się nie modliłem. Moje myśli były skupione na aktualnych stosunkach z Juliją. *Jak do tego doszliśmy* – zapytałem, klęcząc przed freskiem.

To było w 1981 roku – wiele lat przed spotkaniem z kolegami ze studiów, kiedy pojawiła się pierwsza nadzieja, że mój sen się spełni i że będę z Juliją. Odprowadziłem do domu moją ówczesną dziewczynę na ulicę *Pidwalną*, kiedy zobaczyłem Juliję idącą w kierunku centrum. Widać było, że się spieszyła, ale zatrzymała się i porozmawialiśmy. Przypomniałem sobie jakiej jest wyjątkowej urody. Przypomniałem sobie, że kiedy się śmieje to widać jej górne zęby, a to zawsze podobało mi się u kobiet. I wtedy pomyślałem sobie *Ona może być twoja!* Minęło 12 lat i teraz w końcu mogę ją przytulać kiedy tylko chcę. Tej nocy zasypiałem czując zapach 1969 roku, zapach mojego pierwszego dnia na uczelni. Kilka wieczorów później znów odprowadzałem moją dziewczynę do domu. Tym razem to była Julija.

Kamienny chłód cerkwi przenikał powoli nasze kości. Był grudzień i ojcowie uważali że tylko miłość Boga ogrzewa przestrzeń pod dwudziestometrowym dachem. Czekając w kolejce do spowiedzi, rozmyślałem o jej pozytywnych stronach – o tym że, jest imitacją bezpośredniej rozmowy z Bogiem, a ojciec musi dochować tajemnicy spowiedzi. Złą stroną spowiedzi w cerkwi pw. Św. Jerzego było to, że ojciec Stepan czasami jej nie dochował. Szerzyły się plotki, że rozbił kilka małżeństw, otwierając im oczy na niewłaściwe postępowanie małżonka. Kiedy przyszła kolej na mnie, wyspowiadałem się zgodnie ze wskazówkami Juliji:

– Ojcze, mam pewne problemy na uczelni. Jedna studentka kłamała, że się ze mną spotyka i wzięła łapówkę w moim imieniu. Swojej koleżance z grupy powiedziała, że biorę pieniądze za wpis do indeksu. Oczywiście to nieprawda, nigdy nie myślałem ani o braniu łapówek ani o romansie ze studentką: ona ma 17

lat a ja 34, a poza tym jestem żonaty. Ale mimo to na pewno ludzie będą plotkować, wie ojciec jak to z nimi jest.

Odpowiedział mi, że największym grzechem w moim przypadku jest strach i że nie mogę bać się tego co ludzie powiedzą. Tchórzostwo to największy grzech. Ważne abym był czysty przed Bogiem, przed sobą i swoją żoną.

Poniedziałek, 22 grudnia 1986

W poniedziałek wypoczęty wchodziłem energicznie po schodach uniwersytetu. Kiedy byłem na drugim piętrze, został mi do pokonania tylko korytarz, abym doszedł do swojej katedry. Przed drzwiami stały trzy studentki i rozmawiały, ale kiedy mnie zobaczyły umilkły i śledziły mnie wzrokiem. Kiedy wszedłem do katedry, musiałem przejść jeszcze obok dwóch sal wykładowych. W pierwszej też studenci śledzili moje przejście uporczywym wzrokiem. Wtedy zrozumiałem, co się dzieje. Nie mogłem mieć nadziei, że będzie inaczej. Pogłoski o moim romansie ze studentką i podrobionym podpisie rozeszły się błyskawicznie. Przypuszczałem że kiedyś wszyscy się o tym dowiedzą i będą się zastanawiać, ile jest w tym prawdy? Problem był w tym, że chociaż niewielu wierzyło, że mogłem to zrobić, to wielu studentów mówiło krótko: „Profesor Iwan spał ze studentką Ołesją” albo że „Ołesia z polonistyki spała z profesorem Iwanem”

Trzy studentki, które minąłem przy drzwiach zapukały do gabinetu.

– Profesorze Iwanie, czy mógłby Pan przyjść na chwilę?

Gdy do nich wyszedłem powiedziały:

- Przepraszamy, że nie mogłyśmy przyjść na egzamin. Chciałyśmy prosić, czy mogłybyśmy zdawać w tym tygodniu.

– A dlaczego nie przyszłyście w pierwszym terminie?

– Z różnych powodów. Ja na przykład skręciłam nogę wysiadając z tramwaju, mam potwierdzenie od lekarza.

– Dobrze, przyjdźcie jutro o 10 – szybko przerwałem im ich komiczne wyjaśnienia. Specjalnie wskazałem szybki termin, żeby jeśli kłamały, nie miały za dużo czasu do opanowania materiału.

Wchodząc do gabinetu zauważyłem, że na drzwiach wisi informacja, że w środę (24 grudnia) o 11 jest zebranie pracowników katedry. Podpisany był prof. Bodenko. Poczułem, że sam układ liter w jego nazwisku przyprawia mnie o mdłości.

Gdy zadowolone studentki odeszły poszedłem do dziekanatu. Czekała na mnie sekretarka z obojętnym wyrazem twarzy.

– Niestety, Panie Profesorze nie mogę Panu powiedzieć nic więcej od tego, co mówiłam w piątek. Dziekan nie wie co zrobić ze studentką, która miała podrobiony podpis. Ołesia nie chodziła w tym semestrze na zajęcia, najprawdopodobniej nie zamierza kontynuować studiów, ale dziekan nie wie też co zrobić z Lidą. Najbardziej irytujące jest to, że nie możemy znaleźć Ołesji. Dziekan poważnie rozważa możliwość zgłoszenia tego na policję, żeby oni jej poszukali.

– Wspominał już o tym podczas naszej pierwszej rozmowy, ale myślałem, że nie ma sensu przesadzać – powiedziałem.

Tego dnia, kiedy wróciłem do domu, znów nie przyniosłem Juliji dobrych wiadomości. Znów szczerze opowiedziałem jej o wszystkim co się wydarzyło. Największym błędem było, że zwrócenie uwagi na to, jak na mnie patrzyli studenci. Spowodowało to u niej atak paniki, że wszyscy w mieście się o tym dowiedzą. Żeby nie utonąć w morzu wstydu, Julija wiedziała, że trzeba przedsięwziąć pewne kroki.

– Przypomnij mi, jak powiedziała ci sekretarka: gdzie mieszkała ta studentka? W którym mieszkaniu z centrum? – dopytywała Julija.

– Tego, w którym mieszkaniu nikt nie wie. Wcześniej mieszkała w akademiku na ul. *Pasicznej*.

– W którym akademiku?

– Nie wiem, tam jest piąty i szósty, w którymś z nich – odpowiedziałem – a co? Chyba nie chcesz jej tam szukać?

– Jeśli będzie trzeba to ją znajdę i nauczę rozumu! – zdecydowanie powiedziała Julija.

Wtorek, 23 grudnia 1986

We wtorek na pierwszych zajęciach egzaminowałem te trzy studentki, które rzekomo nie mogły przyjść w ubiegłym tygodniu. Na wydziale dysponowaliśmy mniejszymi i większymi salami, wziąłem je do jednej z dwóch małych. Jedna ze studentek była bardziej uśmiechnięta i śmielsza od pozostałych, potwierdzał to też jej strój. Ubrana była prowokująco, z nietypową kombinacją zimowych i letnich ubrań. Kiedy odpowiadała, złapałem się na tym, że myślami odbiegam daleko i od jej skrzyżowanych nóg i od tego, co mówi. Czekałem jedynie aż skończy i będę mógł wpisać ocenę do indeksu. Kiedy odpowiadała na trzecie, ostatnie pytanie, przeglądałem jej indeks i zauważyłem, że tabela na ocenę z mojego egzaminu miała widoczne gołym okiem ślady ścierania. Wpisałem ocenę w zabrudzone miejsce.

Poprosiłem drugą studentkę, a tej ubranej prowokacyjnie pozwoliłem opuścić salę. Chciałem, żeby była jak najdalej ode mnie, ponieważ domyślałem się, że ubrała się tak dlatego, że wydział plotkował o tym, że

jestem profesorem, który uwodzi studentki. Kiedy przyszedł czas na wpisanie oceny, zdziwiłem się, kiedy zobaczyłem, że w jej indeksie tabela na ocenę z mojego egzaminu też miała ślady ścierania. Tym razem tego nie przemilczałem.

– Co tu pani zmazała?

– Panie profesorze, pani profesor z rosyjskiego pomyliła się, zamiast w swoim miejscu wpisała ocenę w pana tabelkę, musiałam więc ją zmazać.

Potem wziąłem indeks trzeciej studentki i jeszcze przed rozpoczęciem egzaminowania, spojrzałem na tabelę na ocenę i podpis na egzamin z mojego przedmiotu. Teraz zdziwiłem się otwierając stronę z egzaminami. W jej indeksie też były ślady ścierania.

– I w pani indeksie pani profesor z rosyjskiego się pomyliła?

– Tak, panie profesorze – powiedziała przestraszona studentka.

Wykładowcy popełniają błędy, ale w trzech indeksach na trzy!? - nie przestawałem się dziwić. Nie skomentowałem na głos, tylko przyspieszyłem egzaminowanie, żeby skreślić ten obowiązek z listy. Zostało jeszcze siedmiu studentów, którzy nie byli na egzaminie, ale ci zostaną na styczeń albo luty. W myślach zostały mi ślady dokładnego ścierania tabeli z mojego przedmiotu. Nie wierzyłem, żeby profesor z rosyjskiego mogła pomylić się trzy razy pod rząd. Myślałem, że musi istnieć coś innego, jakaś inna przyczyna, ale nie udało mi się odgadnąć, co za tym stoi. Poza tym, nie mogłem myśleć o tej sprawie, bo moja głowa była przeciążona myślami o czymś zupełnie innym: Ołesia Żołobowicz.

Kiedy wróciłem do domu, czekała na mnie duża niespodzianka. Moja żona wiedziała, jak mnie zaskoczyć swoją przenikliwością, a czasem też swoją niecierpliwością albo impulsywnością, a Julija często zaskakiwała tymi wszystkimi cechami naraz.

– Byłam w akademiku – powiedziała z wyższością.

– W jakim akademiku? – zadałem retoryczne pytanie.

– Na *Pasicznej*. rozmawiałam z byłym chłopakiem Ołesji.

– Co?! - powiedziałem oszołomiony. – Jak go znalazłaś? Opowiadaj!

– Bułka z masłem! – powiedziała Julija, ale zaraz potem dałą mi do zrozumienia, że nie chciała być bezczelna i dodała – Najpierw poszłam do akademika numer 5, powiedziano mi, że taka studentka u nich nie mieszka. Poprosiłam, żeby sprawdzili zeszły rok. Powiedzieli, że nie mogą, to zrozumiałe. Tak więc musiałam dać im 10 hrywien, i wtedy już mogli. Ale to nic nie dało, nie znaleźli jej. Zorientowałam się, że musiała mieszkać w szóstce. Gdy tylko podałam imię i nazwisko w szóstce, kobieta, nic nie sprawdzając na liście od razu powiedziała, że Ołesia mieszkała w tym akademiku w zeszłym roku. Najwidoczniej była popularna, skoro

jej nazwisko zostało zapamiętane. A wiadomo jak studentki mogą zyskać popularność w akademiku. Spytałam kobietę, czy może mogłabym się zobaczyć z jakąś byłą współlokatorką dziewczyny, jeśli jeszcze mieszka w tym akademiku. Dawno nie spotkałam tak miłej kobiecinki, chociaż mogła mi po prostu współczuć, bo przedstawiłam się jako ciotka z Prypeci. Wspięła się ze mną na drugie piętro żeby pokazać mi, w którym pokoju mieszkała Ołesia i żeby poznać mnie z jej współlokatorką, która dalej mieszkała w tym samym pokoju. Drzwi były zamknięte na klucz, współlokatorki nie zastałyśmy. Tak czy siak, najbardziej interesujące nie było to, co w pokoju, ale przed nim. Przez cały korytarz, od schodów aż pod same drzwi pokoju, wielkimi, czerwonymi literami było napisane: OŁESIA, KOCHAM CIĘ. Miałam nieodpartą chęć znaleźć zakochanego autora. Kobiecinka powiedziała, że jest nim chłopak o imieniu Rostisław, a jego miłość do Ołesji była znana w całym akademiku. Później zaprowadziła mnie do pokoju tegoż właśnie Rostisława. Jemu też podałam tą samą bajeczkę – że jestem ciotką z Prypeci. Rostikowi nie potrzeba było dużo, żeby opowiadał o Ołesji, ale kiedy mówił, na jego twarzy widoczna była długo skrywana nienawiść.

Był w związku z Ołesją od września ubiegłego roku (1985). Chodzili ze sobą trzy miesiące, pod koniec trzeciego miesiąca Ołesia zaczęła się zmieniać. Była jakaś roztargniona, a Rostik zaczął być podejrzliwy o wszystko. Słuchała jakiejś muzyki rockowej, której Rostik nie mógł znieść, zaczął nawet zastanawiać się, czy nie dołączyła do jakiejś sekty albo nie zaczęła uprawiać magii. Coś odciągało uwagę Ołesji od Rostika jakoś przed nowym rokiem rok temu, jej zainteresowanie całkowicie zniknęło i z nim zerwała. Tak jak jej uczucia do Rostika blakły, tak samo jego uczucie do niej nabierało rozmiarów wulkanu. Ogromny napis OŁESIA, KOCHAM CIĘ napisał na korytarzu w styczniu zeszłego roku i do teraz nikt nie śmiał go zmazać. Po tym, jak z nim zerwała, Rostik nie opuścił choćby dnia bez śledzenia jej, modlenia się, żeby do niego wróciła czy też pytania o nią. W końcu dowiedział się, co się działo. Nie była to żadna sekta, ani magia. Obserwował ją, gdy wychodziła z akademika i widział z kim wychodziła. Zabierali ją starsi mężczyźni. Z Prypeci dostawała mało pieniędzy, żyła biednie, więc zdecydowała, że pomoże sobie najprostszym sposobem. W dwa tygodnie puszczania się zebrała wystarczająco pieniędzy, żeby przeprowadzić się do mieszkania w centrum. „Która studentka może pozwolić sobie na mieszkanie samemu w wynajętym mieszkaniu? Wszyscy wiedzieli, że Ołesia ledwo wiązała koniec z końcem. Nie mieliśmy wątpliwości, że została prostytutką, a własne mieszkanie było jej potrzebne, by rozkręcić biznes.” - Tak mi powiedział Rostik. Naprawdę, takimi słowami się wypowiadał. Jestem pewna, że powiedziałby mi więcej, ale był przeświadczony, że jestem ciotką Ołesji. Gdy spytałam, czy wie gdzie teraz mieszka odpowiedział: „nie wiem i nie chcę wiedzieć. Nie zdziwiłbym się, gdyby teraz była z kimś w ciąży.” Tak mi powiedział Rostik. Tak więc, mój drogi, wrobiła cię profesjonalistka – Julija kończąc zdanie, klepnęła mnie po plecach.

Środa, 24 grudnia 1986

W środę o 11 poszedłem na posiedzenie na wydziale. Takie posiedzenia odbywają się raz w miesiącu i do tego zawsze na początku nowego miesiąca. Tym razem jednak Bodenko zrobił wyjątek, robiąc spotkanie przed nowym rokiem. Myśleliśmy, że chce żebyśmy podsumowali nasze rezultaty, żeby mógł nas pochwalić. Nikomu przez myśl nie przeszło, że może istnieć jakiś inny powód, dla którego nas wezwał pod koniec miesiąca.

Tak jak każde posiedzenie, to też Bodenko rozpoczął swoim krasomówczym wstępem, w którym rozbrzmiewał jego narcyzm w najczystszej postaci. Nie przedłużał, nie zatrzymywał się na żadnym punkcie dłużej niż minutę, więc odniosłem wrażenie, że całe spotkanie ma na celu jedynie wspólny toast kieliszkiem wina na cześć szczęśliwego nowego roku 1987. Najdłużej zatrzymaliśmy się na artykułach wydanych w corocznym zbiorze wydziału filologicznego. Moja przyjaciółka Marta była zainteresowana szczegółami i datami wydania artykułów. Później Bodenko kontynuował tonem, który zwiastował kończenie jego przemowy.

– Na koniec, zanim przejdziemy do bardziej zabawowej części naszego spotkania – tu zrobił szablonowy żart wskazując na butelki użohorodzkiego wina, które znajdowały się na jego plecami – chciałbym podziękować wszystkim którzy sprawili, że ten niesamowicie trudny rok, rok z ogromną tragedią naszego narodu, możemy oceniać jako udany w dziedzinie nauki. Wasze sukcesy przyczyniają się do polepszenia wizerunku naszego instytutu, naszego wydziału, uniwersytetu, a co za tym idzie, naszego państwa, ZSRR. Nie mogę nie wspomnieć jednak o jednej sprawie, która niestety wydarzyła się w tym roku, być może po raz pierwszy w historii naszego instytutu. Nie chciałbym, żeby ta sytuacja powtórzyła się w przyszłym roku. Zapewne zdążyliście się już domyślić o czym mówię. W styczniu musieliśmy pożegnać się z naszym cenionym profesorem Pirowskim. Był on wspaniałym nauczycielem, okazał się jednak słaby, jeśli chodzi o pewne wartości moralne. Minęło zaledwie kilka miesięcy i znów napotykamy ten sam problem. Nie wiem, czy środki, które podjęliśmy w sprawie profesora Pirowskiego, okazały się niewystarczające. Teraz mamy taki sam problem, z jego młodszym kolegą, profesorem Kowalenko. Nie chcę obstawiać, jak skończy się afera ze studentką z pierwszego roku. Nie chcę też w żadnym wypadku wnikać, jak do tego doszło ani kto jest winien. Dla mnie liczy się jedynie fakt, że takie sprawy powodują nieodwracalne szkody dla wizerunku naszego instytutu, tym samym pośrednio zadając cios całemu systemowi edukacyjnemu ZSSR – Bodenko w tym momencie zauważył, że podnoszę rękę, bo chciałbym coś powiedzieć. – Nie mam zamiaru nikogo atakować, to nie jest moim celem, nie mam nic do profesora Kowalenki. Chciałbym jedynie, żebyśmy wszyscy byli

ostrożniejsi w przyszłości i ochronili naszą wdzięczną profesję. Teraz profesor Kowalenko chce coś powiedzieć, a następnie przejdziemy do „głównej” części.

Bodenko oddał mi głos, znowu przypominając o winie za jego plecami, jakby chciał ukryć to, że wcześniej nie zauważył mojej podniesionej ręki.

– Profesorze Bodenko! Nie mogę wypowiadać się za profesora Pirowskiego, ale będę mówił za siebie. – Z wysiłkiem wziąłem głęboki oddech, napełniając płuca ciężkim powietrzem przepełnionej sali konferencyjnej. Przestraszyłem się, że z tych nerwów nie będę w stanie złożyć poprawnych zdań. – Dobrze wiecie jak wygląda cała sytuacja ze studentką Ołesją. Wiecie, że to ja przyniosłem indeks ze sfałszowanym podpisem do dziekanatu. Już to, że go przyniosłem, jest najlepszym dowodem na to, że wszystko, o czym mówiła Ołesia jest kłamstwem. Kłamała, że jest ze mną w związku, tylko po to, żeby wyłudzać pieniądze od koleżanek z grupy za mój podpis. Proszę, nie udawajcie, że nie rozumiecie sytuacji albo nie wiecie kim jest Ołesia, jakim jest typem studenta. Wiecie, że mowa o studentce, która jest nieodpowiedzialna, nie pojawiała się na zajęciach przez cały poprzedni semestr, i która znajduje się w tej chwili nie wiadomo gdzie. Sekretarka z dziekanatu dotarła do informacji, że ta studentka w poprzednim semestrze mieszkała sama w wynajętym mieszkaniu w centrum. Jeden z jej przyjaciół otwarcie powiedział, że zajmowała się prostytucją. Biorąc pod uwagę to wszystko, nie mamy powodów by wątpić, że to kłamstwo. Skoro nie wątpimy, że studentka Ołesia sprzedawała swoje ciało za pieniądze, zastanówmy się czy miała jakiekolwiek przeszkody moralne by skłamać o intymnych spotkaniach z wykładowcą (mogła nawet rozpowiadać, że jestem jednym z jej klientów!), by sprzedawać sfałszowane podpisy wykładowców? Panie profesorze Bodenko, jak może pan mówić, że nikogo pan nie atakuje i że nie chce pan zgadywać kto jest winien. To najbardziej podstępny możliwy atak na mnie! – później prowadziła mnie złość – Mówicie, że przede wszystkim trzeba chronić udział instytutu, a tym jak najbardziej zwalacie winę na mnie! Powiem więc i za profesora Pirowskiego: profesor Pirowski nie był słaby jeśli chodzi o pewne wartości moralne, jak mówicie! To pan był słabe moralnie! To panu przeszkadzał profesor Pirowski w walce o stołek szefa katedry i to pan wymyślił aferę ze studentką, w której prawdomówność nikt z tu obecnych nie wierzy.

Kiedy skończyłem, Bodenko był czerwony jak burak a wszyscy jego koledzy chcieli się zapaść pod ziemię. Nikt dotąd nie ośmielił się tak wygarnąć Bodenko, a na pewno nie tak ostro. Bodenko zebrał siły jedynie by wyjąkać kilka słów, które miałyby załagodzić to, czego załagodzić się nie dało.

– Nie sądziłem, że dojdzie do takiej sprzeczki… Zwłaszcza nie teraz, podczas świątecznego spotkania… mam nadzieję, że w przyszłym roku będziemy mieli w sobie więcej zrozumienia… Ja… przepraszam, jeśli kogoś źle osądziłem… – Mniej więcej tak brzmiało jąkanie Bodenki. W rzeczywistości nikogo nie przepraszał

szczerze. Dla wszystkich jasne stało się to, że ja i Bodenko wkroczyliśmy na wojenną ścieżkę, która będzie trwała dłużej lub krócej, ale w każdym wypadku skończy się czyjąś (najpewniej moją) eliminacją.

Potem przeszliśmy do długo wyczekiwanego wina, które jednak zostało pozbawione wyczekiwanego smaku. Ostatnie słowa mojej wypowiedzi wlewały się po kolei do każdej otwartej butelki wina, zakwaszając je tak, że nikt i nic nie były w stanie ich odkwasić.

Gdy Marta dopiła swój kieliszek, wzięła mnie za rękaw i powiedziała, że będzie na dole w stołówce. Przestraszyła mnie myśl, że nie chce, aby widziano ją opuszczającą pomieszczenie razem ze mną i dlatego zamiast spytać, czy pójdę z nią, powiedziała, że spotkamy się na dole. Powoli wypiłem ostatni łyk, który wydał mi się najkwaśniejszy, i poszedłem w stronę stołówki.

– Nie wierzę, że naprawdę to zrobiłeś! Jak mogłeś sobie pozwolić na coś takiego! – skrzyczała mnie Marta.

Ja, znów, zebrałem siły, by odpowiedzieć, ale stać mnie było jedynie na uśmiech, który nie był ani kwaśny ani sztuczny, był jednak wynikiem psychicznego zmęczenia ostatnich dni i pomieszania uczuć ulgi i kapitulacji.

– Jesteś świadom, co Bodenko może z tobą zrobić? Radzę, abyś zaczął szukać nowej pracy – powiedziała Marta, tym bardziej zachęcona moim idiotycznym uśmieszkiem.

– Nie ma prawa mnie zwolnić – broniłem się. – Nie może zwolnić mnie z powodu informacji wymyślonych przez studentkę.

Marta zamyśliła się, a później odpowiedziała już spokojniej.

– Dlatego właśnie, że nie ma podstaw by cię wyrzucić, właśnie dlatego powinieneś dzisiaj milczeć. Wiesz jaki jest. Szuka wojny, a ty rzuciłeś mu rękawicę. Wie, że nie może wykorzystać studentki przeciw tobie, bo wie, że ona wszystko wymyśliła. Logicznym jest, że gdyby cię z nią coś łączyło, nie przyniósłbyś fałszywego podpisu do dziekanatu. Ale Bodenko powiedział to, co chciałby, by było prawdą. Dla niego najważniejsze jest, by uwolnić się od swojego największego konkurenta. Będzie chciał znaleźć jakiś dowód na to, że byłeś z tą Ołesjią. Nie bądź zdziwiony, kiedy podrzuci ci jakiś dowód – skończyła Marta, więc przez chwilę byliśmy pogrążeni w swoich myślach i skupieni na jedzeniu. Po małej pauzie dodała – Wciąż nie wierzę, jak mogłeś tak go spoliczkować tą sprawą z Pirowskim. Wszyscy myślimy podobnie, ale nikt nie ośmielił powiedzieć tego tak otwarcie. Nikt nie powiedział nic, kiedy trzeba było. Dlaczego nie wstawiłeś się za Pirowskim, gdy tego potrzebował?

I po raz kolejny Marcie udało się na stałe zmazać uśmiech z mojej twarzy, godząc w czuły punkt ze swoim „dlaczego nie stałeś za Pirowskim, gdy tego potrzebował”. W styczniu tamtego roku, kiedy decydowano o jego losie, nie stanąłem otwarcie po jego stronie, chociaż tego ode mnie oczekiwano. Byłem jego

największym zwolennikiem i dłużnikiem, ale byłem powściągliwy. Z tego powodu profesor Pirowski został wyrzucony na ulicę, wtedy jednak zacząłem mu pomagać. Miałem szczęście, że ożeniłem się z majętną kobietą, spytałem Juliję, czy pozwoliłaby mu zamieszkać kilka miesięcy w pustym rodzinnym mieszkaniu na *Liczakiwskiej*. Z „kilku” wyszło ponad dziesięć miesięcy. Z drugiej strony, *Liczakiwska* była blisko *Piekarskiej*, więc czasem przynosiłem mu jedzenie, które ugotowała Julija albo zapraszałem go na obiad. Niezbyt często, nie mogłem przecież oczekiwać od Julii, że zostanie Matką Teresą. Nieważne jednak, co zrobiłem dla Pirowskiego potem, dla kolegów z pracy niezrozumiałym było – dlaczego kiedy sądziły się jego losy w instytucie, Kowalenko nie stanął po jego stronie?

Po obiedzie z Martą, przechodząc przez korytarz spotkałem sekretarkę z dziekanatu.

– Cześć Oksana! Wiesz może coś nowego o tej studentce Ołesji? Znaleziono ją?

– Nic nie ma, przed chwilą rozmawiałam z dziekanem. Nie chce naciskać, dlatego, że Ołesia pochodzi z Prypeci, więc po katastrofie w Czarnobylu spodziewaliśmy się, że przestanie przychodzić na zajęcia, jej bliscy mogli być wśród ofiar.

Sekretarka powiedziała to szybko gestykulując i ruszając się tak, jakby chciała dać mi do zrozumienia, że bardzo się gdzieś śpieszy, i zaraz potem stukot jej obcasów niósł się przez cały korytarz. Dobrze się stało, że ją spotkałem, bo nie chciałem prawie codziennie wchodzić do dziekanatu i wypytywać o Ołesjię. Wyglądało to jakbym miał nieczyste sumienie.

Kiedy wyszedłem z uniwersytetu przeszedłem przez ulicę i spojrzałem do tyłu na fascynujące budowle głównego kampusu Uniwersytetu Lwowskiego. Zatrzęsły mi się nogi i oblał mnie zimny pot. Duma, którą uniosłem się na spotkaniu minęła i opadł mnie strach. Gdy patrzyłem na budynek uniwersytetu, zdałem sobie sprawę, że to całe moje życie. Poświęciłem mu ostatnie szes…. siedemnaście lat i miałem dla niego przeznaczone wszystkie pozostałe lata swojego życia. Jasne było dla mnie, że nigdy w życiu nie chciałbym być sprzedawcą czy rolnikiem, a na zostanie lekarzem, prawnikiem czy piłkarzem było już za późno. Patrzyłem na moją młodość, która wyglądała przez łuki nad głównym wejściem. Były przepiękne, pełne energii, każdego dnia przechodziłem pod tymi łukami o gram mądrzejszy i bardziej dojrzały. To było moje miejsce, tutaj chciałem zostać na zawsze.

Ojciec Stepan na jednej z liturgii w cerkwi św. Jerzego polecił wiernym, aby odwiedzili jakąś cerkiew jaskiniową, w której jakiś mnich spędził całe lata na modlitwie. Twierdził, że świątynie z historią, w których ktoś przez długi czas się modlił, są „wymodlone” i mają cudotwórczą moc. Dlatego mówił, jak ważne jest przebywanie w cerkwi i dlaczego modlenie się w domu jest inne od modlitwy w świątyni, Wierzyłem w to odkładanie się energii i uważałem, że to pomaga też uniwersytetom być wyjątkowymi miejscami. Gdzieś w powietrzu auli, w kącie dywanu albo między ścianami a biblioteczkami ze starymi książkami tli się jeszcze

młoda energia zebrana ze wszystkich generacji studentów, którzy kiedykolwiek tu studiowali. Wszystkie sale w budynku uniwersytetu słuchały wykładów wypełnionych intelektualną mocą albo – odwrotnie – może nie słuchały nic, a jedynie błądziły razem z myślami o zakochanych koleżankach lub kolegach z grupy, którzy smucili się bądź radowali, zostawiając kawałki swojej miłości, żeby tliła się na uniwersytecie. Według tej teorii o odkładaniu się energii, uniwersytety byłby i „ukochane” i „wymodlone” i „nauczone” i „wystraszone” i „nażyte”.

Wiadome było, że to właśnie z tych powodów praca na uniwersytecie we Lwowie najbardziej mi odpowiadała - uniwersytet był częścią mnie a ja byłem częścią jego i nie mieściło mi się w głowie, że miałbym tę część siebie zgubić. Nie wiadome było to, czy przez kłótnię z szefem katedry, mój związek z uniwersytetem nie zostanie zagrożony przez silniejszego przeciwnika. Bodenko naprawdę jeszcze nie miał dowodów przeciwko mnie. A jak tylko znajdzie jakiś wątpliwej jakości dowód, który będzie potwierdzał, że byłem w relacji ze studentką, nie będzie się wahał ani chwili i od razu wykorzysta go przeciwko mnie.

Czwartek, 25 grudnia 1986

Okazało się, że Bodenko nie może czekać na taki dowód ani dnia dłużej. W środę po spotkaniu, lub w czwartek rano wyprosił u dziekana, aby zajął się wreszcie tą aferą, bo z każdym dniem zwłoki – jak stwierdził – „katedra traci swoje dobre imię”. W istocie, Bodenko wystraszył się, że dziekan może rozłożyć ręce, gdyż, jako że Ołesji wciąż nie ma, tkwi w ślepym zaułku, a dokładniej: to studentka Lida tkwi w ślepym zaułku; w sytuacji bez wyjścia, lecz na bezpiecznej pozycji.

W czwartek rano sekretarka poprosiła mnie, abym przyszedł do dziekanatu. Dziekan przywitał mnie serdecznie.

– Umówiłem się ze starostą grupy, do której należą Ołesia i Lida. Z pewnością go pan zna.

– Oczywiście, Markijan to rozsądny chłopak

– I właśnie dlatego to z nim chcę porozmawiać. Na pewno wie coś, o czym my wiedzieć nie możemy. Oni, studenci znaczy się, mają swoje sekrety. Bez wątpienia będzie wiedział, jak to było z tym podpisem w indeksie Lidy, a może nawet powie, gdzie może być Ołesia.

Zaraz po tym, jak dziekan skończył mówić, w drzwiach pojawiła się sekretarka Oksana, z chuderlawym chłopcem, który wyglądem ani trochę nie odbiegał od stereotypowego studenta. Choć dziekan bardzo oględnie objaśnił Markijanowi powód, dla którego został wezwany, ten słuchał uważnie z wyrazem głębokiego zrozumienia na twarzy. Dziekan przeszedł do meritum sprawy:

– Na pewno wiesz coś o tym, że twoje koleżanka z grupy rozpowiadała, że miała jakiś prywatne zaszłości z profesorem?

– Tak, chociaż… to nie jest żadna tajemnica. Przynajmniej ja tak myślę. Ołesia chwaliła się komu popadnie, że spotyka się z profesorem. Może i ktoś jej wierzył, ale według mnie to zupełne bzdury. Wiemy przecież, że profesor jest żonaty i nigdy by się tak nie poniżył, żeby spełniać fantazje jakiejś bezczelnej małolaty.

– Dokładnie tak. Jednak nie wszyscy macie głowę na karku, to znaczy, nie tak jak ty, Markijan. – zgodził się dziekan. – wasza koleżanka Lida, na przykład, dała wiarę tym niedorzecznościom, lekkomyślnie dopuszczając się nadużycia. Z pewnością wiesz o falsyfikacie podpisu?

– Tak tak, wie. Był na egzaminie, kiedy to zauważyliśmy – wtrąciłem się. Markijan tylko przytaknął.

– A, jak to mówisz, niektórzy studenci uwierzyli w te wymysły? – kontynuował dziekan po krótkiej chwili namysłu. – Naprawdę są na tyle naiwni, aby to przyjąć bez wahania? Jak jej się udało ich przekonać?

– Tego nie wiem. Musiała być bardzo uparta i powtarzać wszystkim, że spotyka się z profesorem. Mówiła na przykład: „mam się z nim widzieć wieczorem”, albo „widzieliśmy się popołudniu”. Pokazywała też jakieś dowody, zawsze nosiła fotografię profesora w portfelu. Pewnego razu przechwalała się, że widzieli się rano, a jej bluza nadal pachnie panem profesorem. Pokazywała ją swoim koleżankom, a one stwierdziły, że to rzeczywiście jest jego zapach. Zapewne kupiła tę bluzę na targu i przyniosła jako dowód. – wyjaśnił Markijan; teraz już mówił swobodniej.

– Jasne. – przytaknął dziekan. – ta sprawa z rzekomym zapachem pana profesora to niedorzeczność, ale mówisz, że miała też fotografię? Komu ją pokazała?

– Wszystkim. Sam też ją widziałem. Cały czas miała ją w portfelu. To właśnie dzięki niej udało jej się przekonać tych, co z początku nie wierzyli, że mogło coś być między nią a profesorem.

– Skąd niby ją miała!? – oburzyłem się, choć byłem raczej zaskoczony – jak ona wyglądała?

– Zwykłe zdjęcie, jak do legitymacji.

– Rzeczywiście, kilka takich zdjęć leżało u mnie w kancelarii. – zamyśliłem się, próbując dociec, jak mogło do tego dojść. – No tak, studenci często tam wchodzą, żeby wypożyczać książki. Musiałem to zdjęcie zostawić na biurku.

– Dobrze, zostawmy to na razie. – uciął dziekan niecierpliwie. – Markijan, wiesz może, gdzie ją teraz znaleźć? Albo możesz się dowiedzieć?

– Nie wiem, gdzie jest, już od pół roku nie było jej na zajęciach. Mogę popytać, jeśli czegoś się dowiem, dam znać.

– Wypytaj wszystkich. A tak w ogóle, co mógłbyś powiedzieć o tej Ołesji? Wiemy, kim była jako studentka, ale ty znałeś ją prywatnie. Jaki miała stosunek do was, znaczy się, do grupy?

– Nigdy za bardzo się z nią nie kolegowałem, ale nie była w grupie zbyt popularna, delikatnie mówiąc. Mieliśmy ją za plotkarkę, ale generalnie sprawiała wrażenie że… jakby była… dziewczyną lekkich obyczajów. Mam nadzieję, że rozumieją panowie, co mam na myśli.

To, co Markijan właśnie powiedział, pokrywało się z treścią pisma, które Rostisław otrzymał z akademika, które przekazałem dziekanowi. Pokazałem je również na spotkaniu naszej katedry. Co za tym idzie, imię Ołesji zostało skrajnie zniesławione, lub chociaż dostatecznie zniesławione**,** aby te wydarzenia nie mogły zaszkodzić mojej reputacji; zrujnuje również plany Bodenko, aby wykorzystać tę aferę na moją niekorzyść. Wszystko byłoby jak wcześniej, gdyby Ołesia nie pokazała wszystkim tej cholernej fotografii. Najlepiej, gdyby jej w ogóle nie znalazła. W tamtych czasach nie dało się tak po prostu zdobyć czyjegoś zdjęcia, a zwyczajowo w portfelu nosiło się jedynie zdjęcia ukochanych osób. To znaczy, że ta fotografia, którą Ołesia machała innym studentom przed oczami zupełnie zmywa winę tych, którzy wierzyli w jej opowiastki; szczególnie uniewinnia Lidę, która jeszcze tydzień temu miała być wyrzucona z uczelni.

Wracając dobrze znaną ulicą, którą zawsze chodzę do pracy, zamyśliłem się. Myślałem o tym, jak bardzo cieszę się z tego, że zdołałem osiąść w tak pięknym mieście, na ulicy *Piekarskiej* 53. Do studiów mieszkałem w zakarpackiej wsi Suchodol, w skromnej chatce, razem z rodziną mojego wuja. Kiedy skończyłem studia, owładnęło mną uczucie paniki, które udało mi się skutecznie ukrywać przed innymi. Wystraszyłem się, że po zakończeniu studiów już nic nie będzie mnie trzymać we Lwowie, a jeśli nie podejmę pracy natychmiast, będę musiał wrócić do tego nieszczęsnego Suchodołu, z którego udało mi się wyrwać całkiem niedawno. Dlatego kontynuowałem studia, teraz już doktorskie, oraz pracowałem w naszej katedrze za darmo, dzięki czemu mogłem cieszyć się wystarczającym stypendium i honorarium. Pozwoliło mi to zostać we Lwowie jeszcze choć chwilę dłużej. To, że zacząłem pracę na wydziale jest już zasługą kogo innego – profesora Pirowskiego. Nie mogę powiedzieć, że miałem dużo pieniędzy – pensja doktorska nie była wysoka, a musiałem również opłacić mieszkanie. Jakoś tak zaczęło się to toczyć. Podobnie żył sam Pirowski, choć zarobki miał wyższe – był w końcu profesorem. Po dwóch latach pracy wziąłem ślub z Juliją, zabezpieczając w ten sposób moje życie we Lwowie, jakoby już dwoma pasami bezpieczeństwa. I właśnie teraz, idąc w górę *Piekarskiej*, zwątpiłem w ich trwałość. Doszedłem jednak do wniosku, że nie wisi nade mną żadna groźba, że te pasy się nie podrą czy poluzują, ale niewykluczone, że ktoś je po prostu kiedyś odepnie. Wyobraziłem sobie palec wskazujący Bodenki, jak czeka już nad zapięciem jednego, palec zaś Juliji jeszcze się do zapięcia drugiego pasa nie zbliżył. To tylko kwestia czasu - jak długo pierwszy może zostać odpięty, aby odpiął się i

drugi. Jeśli miałyby odpiąć się oba, z pewnością runąłbym na łeb na szyję, i poturbowany wpadł bym do tego cholernego, pozbawionego wszelkich perspektyw Suchodołu. Aż ciarki przeszły mnie po plecach.

Kiedy wszedłem do domu, opowiedziałem Julii o wszystkim, co zostało powiedziane w gabinecie dziekana, nie pomijając nawet fragmentu o zdjęciu, które Ołesia nosiła w swoim portfelu.

– Najbardziej mnie niepokoi, jak mogła to zdjęcie zdobyć!? – nie mogłem się z tym pogodzić – tak, zostawiłem ich kilka na biurku w kancelarii, ale jak zdołała je ukraść?

– Czy studenci tam wchodzą?

– Tak, dosyć często, zwykle by coś wypożyczyć, bo część naszych książek leży właśnie tam. Musiała więc tam wejść, i zauważyć przy okazji że są tam moje zdjęcia. – zakończyłem.

– No tak, ale ona chyba nie weszła tam po książki… - trafnie zauważyła Julija.

– Ha, tak mówisz? – zaśmiałem się – Mogła też wysłać jedną ze swoich koleżanek. Poza tym, musiała by to być jej dobra przyjaciółka, a wygląda na to, że Ołesia raczej takich nie miała.

– A nie wydaje ci się, że mógł w to być zamieszany jeden z wykładowców? – wypaliła Julija po krótkiej przerwie. – Bodenko, na przykład.

– Co!? Czemu akurat Bodenko? Myślisz że mógłby współpracować z Ołesją i dać jej tę fotografię, żeby mogła rozprowadzać plotki o tym, że się ze mną spotyka? – dziwiłem się Julii, że mogła na coś takiego wpaść.

– A czy Pirowskiemu nie wyciął podobnego numeru? Jego też nieźle urządził – kontynuowała Julija, przypuszczając, że Bodenko może być w zmowie z Ołesją, i że mógłby to być od dawna planowany spisek.

– Nie chcę już o tym myśleć! Już nic mnie nie zaskoczy! – powiedziałem, już nie oponując – chciałem zakończyć tę rozmowę. W tej samej chwili przypomniałem sobie, co mówiła mi Marta kiedy jedliśmy obiad: „Bodenko czeka tylko na jakiś niezbity dowód, że rzeczywiście coś między wami było. Nie bądź zaskoczony, kiedy podsunie ci jakieś alibi.”

Zarówno ja, jak i Julija zauważyliśmy, że zaczynamy się zachowywać jak jakaś hiszpańska rodzina, która bezpodstawnie przypuszcza, że cały świat spiskuje przeciw niej, i że jest ofiarą długo planowanej intrygi. Julija podeszła do mnie od tyłu i objęła, kładąc swoją prawą rękę na moje prawe ramię, lewą zaś gdzieś w talii, tak że obie przypominały pas bezpieczeństwa w samochodzie. Miała na sobie szlafrok i chodziła w nim po domu z włosami mokrymi po kąpieli. Nadchodzącej nocy temperatura na dworze miała spaść do trzydziestu-czterdziestu stopni poniżej zera, ale piec gazowy grzał dobrze, w mieszkaniu panowało miłe ciepło. Oswobodziłem się z pasu bezpieczeństwa pod pretekstem, że czuję się spocony i chcę się umyć. Kiedy wróciłem, Julija już drzemała wyciągnięta na plecach, na naszym łóżku. Zgasiłem światło i spojrzałem na jej

twarz, oświetloną blaskiem nocnych gwiazd. Odwiązałem pas szlafroka, odsłaniając przez gwiazdami jej nagie ciało. Otuliliśmy się ciepłą, bawełnianą kołdrą, w tę zimną, grudniową noc.

Choć tego wieczoru, zmęczeni nocnymi igraszkami, zasnęliśmy wcześniej niż zwykle, coś obudziło mnie w środku nocy. Była trzecia nad ranem. Poczułem zapach własnego potu pod ramionami, poszedłem więc wziąć prysznic jeszcze raz. Musiało mi się śnić coś dziwnego, bo obudziłem się z dziwnymi myślami. Póki brałem prysznic, nie chciałem wywoływać z pamięci tych trzech studentek, które pisały egzamin we wtorek i że w ich indeksach, w rubryce „ocena” z mojego egzaminu, są ślady po wymazanym wpisie. Pomyślałem później, że przecież jeszcze siedmiu innych studentów w ogóle na egzaminie się nie pojawiło, jakby to nie było oczywiste. Potem znów odrzucałem myśli o tym, że nauczycielka rosyjskiego mogłaby przez pomyłkę wpisać im ocenę w mojej rubryce, i to właśnie im, tym trzem, które były na egzaminie we wtorek. Za chwilę, z zaskakującą przenikliwością doszedłem do odkrycia, w które sam nie mogłem uwierzyć: Ołesia im wszystkim zaproponowała, że może dla nich zdobyć moje podpisy! Wzięła od nich pieniądze, ci dali jej indeksy, a ona je oddała z ocenami z egzaminu, podpisanymi moim nazwiskiem! Kiedy jeszcze widziałem Lidę, jak była w dziekanacie po podpis z kolokwium, powiedziała, że Ołesia ich okpiła! Później, gdy zorientowały się, co się dzieje, wymazały oceny i przyszły zdać egzamin!

Nie byłem zupełnie pewien prawdziwości moich przypuszczeń, ale zaraz zawrzał we mnie gniew. Nie mogłem uwierzyć, jak bardzo pogrywała z moimi zasadami jakaś osiemnastoletnia studentka, i zapragnąłem ją odnaleźć natychmiast i jakoś się zemścić.

Piątek, 26 grudnia 1986

W piątek rano poszedłem prosto do dziekanatu. Dziekan, na szczęście, był na miejscu. Od razu opowiedziałem mu o moim odkryciu, do którego doszedłem w nocy. Później dałem mu listę nazwisk studentek, w których indeksach znalazłem ślady po wymazanych podpisach. Dziekan, wyraźnie zaniepokojony poprosił sekretarkę Oksanę, by przyniosła mu piątkowy plan lekcji tych trzech studentek. Oksana szynko wróciła, mówiąc, że zaczynają zajęcia o 9:40. Dziekan spojrzał na zegarek, który pokazywał 9:45, i zaraz dał sekretarce otrzymaną ode mnie listę, prosząc, aby poszła do sali wykładowej, gdzie odbywają się zajęcia tych studentek i przyprowadziła je, w miarę możliwości z indeksami.

Na szczęście, wszystkie trzy były na zajęciach i już za dwie-trzy minuty, a więc tyle, ile potrzebowała Oksana aby pójść na drugie piętro i wrócić, wszystkie były u dziekana w kancelarii. Studentka, która przyszła tak prowokacyjnie ubrana na egzamin, teraz była ubrana stosownie do sytuacji. Wyglądała na zawstydzoną. Dziekan poprosił o indeksy, aby sprawdzić jak wyglądają te wygumowane rubryki, o których mu mówiłem.

– Zrobimy tak: profesor Iwan powiedział mi, że wykładowczyni języka rosyjskiego pomyliła się, wpisując swoje nazwisko w niewłaściwym miejscu. Zawołam ją teraz, jeśli trzykrotnie zaprzeczy, że rzeczywiście się pomyliła, zostaniecie oczywiście ukarane, w później będziecie musiały powiedzieć prawdę. – zagroził dziekan, jak gdyby chciał dać im chwilę do namysłu, ale była to chwila krótka, bo studentki zdążyły tylko zmieszane popatrzeć po sobie. – Pomogę wam, jakkolwiek byście nie odpowiedziały: Czy spotykałyście się w ostatnich dniach ze Ołesją Żołobowicz? Wraz z profesorem Iwanem przeczuwamy, że to nie nauczycielka rosyjskiego, ale właśnie ona „coś źle wpisała” w waszych indeksach. I ostatnie pytanie: Czy i ile zapłaciliście Ołesji za ocenę?

Jedna z nich powiedziała półgłosem niepewne „nie”, ale później nastąpiła niezręczna cisza, wymiana spojrzeń, potem wszystkie wbiły wzrok w ziemię.

– Proszę nas zrozumieć, oszukała nas – ośmieliła się przemówić ta niegdyś „prowokacyjna”.

– To nie tylko my. – dodała druga.

– Dobrze, wiemy o Lidzie Jaremczuk, nie możecie się nią zastawiać – powiedziałem.

– Nie panie profesorze, nie o nią nam chodzi. Za podpis w indeksie Ołesia wzięła pieniądze od dziesięciu studentów, nie tylko od nas.

– Czy to jest ta dziesiątka, która nie pojawiła się na egzaminie? – powiedziałem.

– Tak, oczywiście, właśnie dlatego nie przyszli. Kiedy dostali wpisy od Ołesji, myśleli, że to od Pana. Wciąż mają te oceny w indeksie i nie wiedzą co robić. Nie wymażą ich, bo zapłacili Ołesji. Tylko my w trójkę wymazałyśmy te oceny i poszłyśmy napisać egzamin.

– Ile zapłaciłyście Ołesji? – włączył się dziekan.

– Zależy od oceny. Za „bardzo dobry” trzeba było dać pięćdziesiąt rubli, za „dobry” czterdzieści, a za „dostateczny” po trzydzieści rubli.

– Zróbcie mi proszę listę wszystkich dziesięciu studentów, i niech każdy napisze ile zapłacił. Pójdziemy na policję i odzyskamy te pieniądze. Wy, za waszą szczerość nie zostaniecie tak ukarane jak inni, bo byłyście szczere. Pozostałej siódemce każcie wymazać oceny, tak jak wy. Niech porozumieją się z profesorem w sprawie zaliczenia. Teraz idźcie na zajęcia. – zakończył dziekan.

Studentki podziękowały i miały już wychodzić, kiedy dziekan przypomniał sobie o najważniejszym:

– Czekajcie! Gdzie jest teraz Ołesia? Kiedy to było, gdy widziałyście się po raz ostatni?

– Nie wiemy gdzie jest dokładnie. Ostatnim razem mówiła, że musi iść do szpitala jeszcze w tym tygodniu, może jest właśnie tam.

– Dlaczego leży w szpitalu? – zapytaliśmy chórem z dziekanem.

– Ma tam jakieś sprawy, nie wiemy dokładnie. – dokończyła „prowokacyjna”, w następnej zaś chwili, z braku szybkiej reakcji z naszej strony, dziewczyny minęły już próg kancelarii.

Kiedy zostaliśmy sami, dziekan powiedział:

– Załóżmy, że każdy zapłacił za ocenę „dobry”, dziesięcioro studentów po 40 rubli… Przecież to jest więcej niż dwie profesorskie pensje! Zobacz jaka kurwa!...

Jak zawsze po pracy, również tym razem opowiedziałem Juliji wszystko, zaraz jak wróciłem. Na koniec dodałem do tego wszystkiego jeszcze obliczenia dziekana:

– Jeśli średnio każdy wybrał ocenę „dobry”, to znaczy że ta zdzira zarobiła czterysta rubli. I wszystko to na moje nazwisko!

– Teraz już wszystko jasne, nie musisz się denerwować. Nikt już nie będzie w to wątpił, i wszyscy się dowiedzą, że ta seksualna afera ze studentką to bzdura. Gorzej, że przez cały rok cię znieważano za twoimi plecami. Wszyscy studenci myśleli, że się z nią spotykasz, że mnie zdradzasz, no i że jesteś skorumpowany i masz nawet swój cennik. – współczuła mi Julija i chciała wytłumaczyć, że już prawie po wszystkim.

– Niech ja ją tylko dorwę! – Wzbierało we mnie pragnienie zemsty, choć nie miałem pojęcia, jak mógłbym Ołesji zaszkodzić. Musiałaby przyjść na egzamin, ale to już inna historia. Wyglądało na to, że jeśli przez pół roku nie pokazała się na zajęciach, nie zamierza kontynuować studiów.

– Nie musisz się na niej mścić. Dziekan zgłosi tę sprawę na policję. Poza tym sprawy przybiorą raczej nieprzyjemny obrót dla Ołesji. - Julija zdawała się rozumieć tę sprawę lepiej niż ja – A poza tym, co powiedziały jej koleżanki, gdzie ona jest? Te, które dały jej indeksy muszą wiedzieć, gdzie jest.

– Niestety nie wiem. Powiedziała im, że musi iść na leczenie, ale nie wiedziały, co jej dolega. Mówiły tylko, że musi być teraz w szpitalu.

– Przecież to pic na wodę! Taki instynkt samozachowawczy – takie młode dziewczyny zawsze się wymawiają jakimś szpitalem, kiedy sprawy układają się nie po ich myśli. Wiedziała, że jest w niebezpieczeństwie, kiedy wyjdzie na jaw ten przekręt, więc profilaktycznie powiedziała, że idzie do szpitala, żeby nikt jej nie szukał i nie obwiniał, bo przecież musi być chora. Mogę to nawet sprawdzić! – Julija sięgnęła nagle po telefon. Miała wysoko postawioną przyjaciółkę w centrum diagnostycznym lwowskiego szpitala, więc jasne było, że to właśnie do niej zadzwoni i poprosi o pomoc:

– Swetłanko, mogłabyś mi sprawdzić pewną dziewczynę? Czy jest w szpitalu, i jeśli tak, to w jakim? … Teraz nie możesz?... aha… jasne, może być jutro. … Dobra, pisz: Ołesia Żołobowicz. … Super! … Dobra, to ja czekam na twój telefon jutro. Dzięki bardzo, do usłyszenia!

Kiedy tylko skończyła rozmawiać ze Swetłaną, powiedziała zapalczywie:

– No, i teraz zobaczymy! Ale gwarantuję ci, że nie ma jej w żadnym szpitalu – przekonała mnie.

Kładliśmy się spać z uczuciem, że wreszcie spadł z nas jakiś ciężar. Fatum już minęło, Julija zaś uznała, że ani moje, ani jej imię nie będzie już dłużej zniesławiane. Rzeczywiście, cały wydział huczał od plotek o mnie, o tym że się spotykam ze studentką, ale teraz, po dziesięciodniowych perypetiach wszyscy już znali dowody i nawet ślepy zobaczy, że to wszystko farmazony. Tym samym, plotki nie będą się już rozchodzić dalej, niż w obrębie wydziału, nikt z zewnątrz nie będzie jej wytykał palcem. Tak myślała Julija.

Sobota, 27 grudnia 1986

Zdrowy, spokojny sen wypełnił nas błogą radością życia, z którą się obudziliśmy, obejmując się wzajemnie jeszcze przez jakiś czas. Byliśmy pewni, że to początek spokojnego, przedświątecznego weekendu spędzonego z rodziną. Spytałem Juliję, czy chce bym zrobił herbaty, po czym wstałem pierwszy i poszedłem do kuchni. Stół obiadowy zdobiły piękne, czerwone jabłka, które stały tu nietknięte jeszcze od czwartku. Rzeczywiście, Julija kupiła je na Rynku Winnikowskim na *Łyczakowskiej*, niestety tego samego dnia wieczorem podano w wiadomościach, że na straganach niektórych targów znaleziono owoce pochodzące ze skażonych terytoriów niedaleko Czarnobyla. Oczywiście, nie mówiono nic o Winnikowskim Rynku, ale zdecydowaliśmy, że nie będziemy ich jeść. Jednakże, tak jak studenci, którzy zapłacili Ołesji nie chcieli wymazać swojej oceny, gdy dowiedzieli się, że zostali oszukani, tak i nam było głupio wyrzucać dopiero co kupione jabłka. Stały więc dwa dni jako ozdoba kuchni.

Stojąc oparty o szafkę i czekając aż zagotuje się woda, wpatrywałem się w te jabłka, były przecież bardzo ładne. Nie było po nich ani trochę widać, że coś je odróżnia od nieczarnobylskich jabłek. A jednak, te w koszyku na naszym stole mogły wyrosnąć na drzewach skażonych promieniowaniem i nie powinno się ich jeść. Zupełnie jakby to był zakazany owoc. Jednocześnie z wprowadzeniem zakazu zbierania, sprzedaży i spożywania czarnobylskich jabłek, zapytywano naukowców o szkodliwość tych owoców. Nie ma wątpliwości, że są szkodliwe, czekaliśmy jednak na zakończenie badań, które musiały być przeprowadzone, aby określić sposób, w jaki napromieniowane jedzenie wpływa na ludzki organizm, i jakie może wywoływać choroby u ludzi, którzy „zgrzeszyli” jedząc czarnobylski, zakazany owoc.

Podniosłem czajnik pełen wrzącej wody i zalałem liście herbaty. Potem odłożyłem pusty czajnik, zakrywając go pokrywką tak, że zaczęła się obracać wydając to specyficzne dzwonienie, które nagle zeszło się z dzwonkiem telefonu. Podniosłem słuchawkę. Żeński głos prosił Juliję, która przeciągała się jeszcze w łóżku.

– Kochanie, przyjdziesz? Myślę że to dzwoni Swetłana z diagnostyki.

Ociągając się, jeszcze zaspana, Julija podeszła do telefonu.

– O, hej Swetłanko! … Tak… Aha… Czemu?... Co, gdzie!? … Hahahaha! – śmiech Julii rozniósł się po całym mieszkaniu, powracając do kuchni jak echo z najdalszych pokoi. Julija podziękowała Swetłanie i odłożyła słuchawkę, dalej się śmiejąc.

– Kochany chłopak z tego Rostisława! – powiedziała trochę niezrozumiale, zwracając się do mnie. – Pięknie to powiedział: Nie byłby zaskoczony, gdyby okazało się, że jest w ciąży. No i właśnie: z kwiatka na kwiatek, w końcu się doigrała, hahaha! – Julija nie przestawała się śmiać. Śmiała się tak głośno, że i ja zacząłem się podśmiechiwać z tego wszystkiego.

– Gdzie była ta Ołesia? – potrzebowałem trochę wyjaśnień.

– Na porodówce na *Miecznikowej*!

Zrobiłem minę á la De Niro, że niby nie robi mi to różnicy, a później siorbnąłem troszkę herbaty, parząc się w język.

– Pójdę się wysikać – powiedziała Julija, a ja uznałem że to dobry moment, by zostać sam na sam z własnymi myślami, które napadły mnie nagle jak stado tropikalnych ptaków. Chciałem przemyśleć wszystko od początku. Pomyślałem o tym, że Ołesia wzięła czterysta rubli w moje imię, pomyślałem o okolicznościach w których profesor Pirowski odszedł z uniwersytetu, o okresie, w którym Ołesia przestała chodzić na zajęcia, o Bodenko i o mojej nierozerwalnej więzi z lwowskim uniwersytetem. Poczułem, jak zawrzała we mnie krew. Z łazienki dochodził już dźwięk prysznica, co znaczyło, że Julija zostanie w łazience dłużej niż na jeden „sik”. Włożyłem płaszcz i wyszedłem, zamykając cicho drzwi za sobą.

Gdy szedłem *Piekarską*, wiatr tworzył niesamowite kompozycje z płatków śniegu. Skierowałem się w górę, w stronę ulicy *Miecznikowej,* która krzyżuje się z *Piekarską* zaraz przed Cmentarzem Łyczakowskim. To było naprawdę blisko naszego domu, najdalej trzysta metrów. Przeszedłem tę odległość w minutę. Serce biło mi jak młotem, kiedy stanąłem przed fasadą kliniki. Przed wejściem paliły dwie lekarki. Zapytałem je, w której sali leży pacjentka Ołesia Żołobowicz. Powiedziały mi, że sala ma numer 42, ale muszę się najpierw zarejestrować i zostawić dokument tożsamości, i że zapewne nie pozwolą mi jej odwiedzić. Pracownica rejestracji rozmawiała przez telefon, minąłem więc ją szybkim krokiem i skoczyłem do schodów, kobieta krzyknęła tylko: „Obywatelu!”. Poszedłem na drugie piętro, i prawie biegnąc znalazłem pokój nr 42. Wpadłem przez drzwi z furią. Otwarły się na oścież i uderzyły w szafkę za nimi – rozległ się trzask tłuczonego szkła. Kobieta krzyknęła jeszcze raz, goniąc mnie resztkami sił. W głębi sali dojrzałem twarz matki, ale nie byłem pewien, czy to Ołesia. Wyglądała niedobrze, z chustą zawiązaną wokół głowy, blada, z podkrążonymi oczami. Przy jej łóżku stała pielęgniarka. Matka przytulała do piersi dziecko owinięte w pieluszki. Na jej twarzy pojawił się niepewny uśmiech, i trwał aż do momentu, kiedy uświadomiłem sobie, że to rzeczywiście Ołesia. Z pewnością musiałem wyglądać przerażająco. Bojaźliwie podszedłem do łóżka, i wkładając ręce między Ołesję

i pielęgniarkę, wziąłem dziecko na ręce. Pielęgniarka wrzasnęła przestraszona, ja zaś cofnąłem się kilka kroków do tyłu i podniosłem niemowlę ponad własną głowę. Podszedłem do okna. Pielęgniarka, nie rozumiejąc co się dzieje, spoglądała to na Ołesję, to na mnie. Przez salę przeszedł stłumiony, niemowlęcy płacz. Poczułem, jak krew pulsuje mi w szyi i na skroniach. Straciłem rezon i przestałem słuchać głosu rozsądku. Światło odbijające się od śniegu na zewnątrz i białych ścian wewnątrz sali padało na twarz dziecka, dzięki czemu mogłem się jej dobrze przyjrzeć. Było to moje pierwsze spotkanie z moją córką.

POWRÓT Z UCZELNI

Melodia *Sweet Child O'Mine*[4] płynąca z telefonu komórkowego wypełniła przestrzeń auta, zagłuszając charyzmatyczny głos prowadzącej relaksującą, popołudniową audycję radiową.

– Hej Wiki! Skończyłaś już?

– Tak, tato. Właśnie przed chwilą wyszłam z wydziału.

– Słuchaj, skręć w prawo, ja będę czekał koło świateł, pod Toronto[5]. Na pewno mnie zobaczysz, szukaj ostatniego zaparkowanego samochodu.

– Dobra, zaraz tam będę.

Po kilku sekundach zauważyłem kolorowy sweter mojej córki. Zdjęła go, przechodząc obok ogromnego pomnika, następnie zawiązała wokół talii i maszerowała już w samej koszulce. „Nieprawdopodobne jak bardzo przypomina swoją matkę” – myślałem, obserwując doskonale mi znane ruchy.

– Dlaczego powiedziałeś mi, że to ostatni samochód?

– Nie zauważyłem, że za mną zaparkowały jeszcze dwie osoby.

– Tatooo! Jesteś strasznie roztrzepany! – Wiki zmierzwiła mi włosy, śmiejąc się przy tym.

Miała całkowitą rację. Rozmyślania o przeszłości rzeczywiście pochłonęły mnie tak bardzo, że teraz będę potrzebował dłuższej chwili, a najprawdopodobniej także i kawy, aby się rozbudzić. Minęły dwie godziny, odkąd rozdzieliliśmy się z Wiki, a bilans energetyczny w naszej relacji przechylił się w kompletnie przeciwną stronę: teraz to ja jestem tym niewyspanym, z kolei Wiki jest rozbudzona i tryska energią.

– Widzę, że spodobał ci się wydział – ~~odpowiadam~~ powiedziałem pytająco. – Opowiadaj, jak było?

– Ehhh, a jak miało być? Było dobrze. Zobaczymy, co powiem, gdy będę musiała się uczyć, haha!

– Co dzisiaj miałaś? Wykład, ćwiczenia, coś innego?

– Inaugurację na auli wydziału…

– No tak, przepraszam… Może najpierw zdecydujmy, dokąd idziemy, a po drodze porozmawiamy. Na pewno jesteś głodna.

– Może do bistro w Magnusie na ziemniaki pieczone po irlandzku?

– Może być, ale jeśli faktycznie tam idziemy, to zostawmy samochód tutaj, bo nie mamy pewności, czy znajdziemy tam miejsce do parkowania.

Skierowaliśmy się więc ku galerii handlowej *Magnus*, gdzie na ostatnim, piątym piętrze znajduje się bistro o bardzo brzydkim wnętrzu, ale za to ze wspaniałym widokiem na dachy okolicznych budynków i operę. Nie jest dla mnie żadną tajemnicą, że Wiktorija wybrała Magnusa nie tylko ze względu na swoją ulubioną

[4] Piosenka po raz pierwszy została wykonana w 1986 roku. Później pojawiła się na albumie *Appetite for Destruction*(1987) zespołu Guns n' Roses.
[5] Pizzeria w pobliżu Uniwersytetu Lwowskiego.

potrawę, ale też z uwagi na butiki, które nieuchronnie będziemy mijać. Sprytna jest. Przeszliśmy ledwie dziesięć metrów, gdy nagle zatrzymałem się gwałtownie:

– Hej, czekaj! – Krzyczę i wracam się do auta. W chwili, gdy chwyciłem za klamkę, uświadomiłem sobie, że powinienem sprawdzić wewnętrzną kieszeń kurtki. Wyczułem pod palcami krawędzie koperty. Odetchnąłem z ulgą.

– Ach, no tak, tutaj to było.

W tej samej chwili zauważyłem ulotkę reklamową wsuniętą za wycieraczkę. Niezdarnym ruchem chwyciłem ją i wepchnąłem do kieszeni, nie zwracając uwagi na treść.

Wiki kolejny raz nabijała się ze mnie, wywracając oczami i kręcąc głową. Tym razem ciszej, ale z większą satysfakcją, ponieważ potwierdziło się, że miała rację co do mojego roztargnienia. Odwzajemniłem jej uśmiech, który jednak nie był w pełni szczery, gdyż zawierał w sobie skrywaną nutę niepokoju wywołaną przez treść listu. Moje serce łomotało na myśl o chwili, w której Wiki otworzy kopertę.

– No i? Opowiadaj dalej.

– Nie mam nic ciekawego do powiedzenia. Zebraliśmy się w auli, a dziekan wygłosił przemowę. Ach, zapomniałabym na śmierć: podeszła do mnie jedna pani profesor, wydaje mi się, że nazywała się Marta i powiedziała, że doskonale cię pamięta. Całkiem miła babeczka.

– Aha, Marta… – powtórzyłem pochłonięty myślami.

Rozmawialiśmy całą drogę do galerii handlowej. Jeszcze będąc na zewnątrz Wiki zauważyła na wystawie sukienkę, więc gdy tylko weszliśmy do *Magnusa*, skierowaliśmy się od razu do sklepu po lewej stronie. W tym samym momencie dostrzegłem w drogerii na przeciwko Juliję. Wybierała coś ze swoją koleżanką. Wydawało mi się, że ona też nas zauważyła. Wiki zniknęła na jakiś czas w przymierzalni, po czym wyszła ubrana w sukienkę z metką. Wyglądała olśniewająco.

– Co myślisz? – zapytała mnie, a oczy wyraźnie błyszczały jej z zadowolenia ze swojego wyglądu.

– Bez dwóch zdań, bierzemy ją! To będzie twój prezent z okazji pierwszego dnia studiów.

Wiktorija dała mi buziaka w policzek.

Wyszliśmy z butiku. Juliji nie było już w sąsiednim sklepie. W niezbyt kulturalny sposób przecisnęliśmy się między ludźmi wychodzącymi z windy i pojechaliśmy na piąte piętro. Jeszcze przed wejściem zauważyłem przez szklane drzwi Juliję, która zajęła miejsce przy oknach. Do tej pory radośnie rozmawiała ze swoją przyjaciółką, ale gdy nas dostrzegła, błyskawicznie zmieniła wyraz twarzy. Zajęliśmy miejsce przy stoliku nieco dalej, ale też przy samych oknach.

Takie spotkania we Lwowie wcale nie są kompletnie niespodziewane, biorąc pod uwagę fakt, że zdarzają się regularnie. W trakcie dnia wszyscy są w centrum miasta, a trasa lwowian jest dość przewidywalna.

W przeciągu ostatnich dziesięciu lat wielokrotnie wpadaliśmy na siebie z Juliją, lecz ani razu nie przywitaliśmy się ze sobą. Każde takie milczące wymijanie w centrum Lwowa boli nas jak chirurgicznie precyzyjne nacięcie na duszy, stąd też wypracowaliśmy jakiś rodzaj mentalnego znieczulenia, aby łatwiej było przeżyć takie spotkania. Mało kto zdaje sobie sprawę, że to dzięki tej osobliwości Lwów otrzymał przydomek „miasto zakochanych”. W Kijowie dziewczyna może zerwać z chłopakiem i później mieć pewność, że już nigdy lub prawie nigdy go nie spotka. We Lwowie natomiast zmuszeni są przyzwyczaić się do tego, że będą się widywać zanim jeszcze odbędą po sobie miłosną żałobę i że w przyszłości też będą czasem na siebie wpadać. Mając tę świadomość, lwowianie poruszają się po mieście z przerażającym poczuciem, że podążają śladami wszystkich dawnych miłości i wiarą w zasadę, że kiedy bardzo chcesz kogoś spotkać, to go spotkasz, a kiedy bardzo nie chcesz kogoś spotkać, wtedy spotkasz go już na pewno.

– Nie wydaje Ci się, że to twoje uciekanie przed Juliją jest trochę dziecinne? – stwierdziła Wiki, która spostrzegła Juliję w bistro dokładnie w tym samym momencie, co ja. Wtedy też spojrzenia naszej trójki spotkały się ze sobą.

Nie chciałem odpowiadać na to pytanie, ale w końcu odwróciłem wzrok od córki i bez wyrzutów sumienia odpowiedziałem:

– Prawdę mówiąc, nie wiem, jak mogłoby to inaczej wyglądać… Trochę mi jej żal…

Spojrzałem na Juliję i zobaczyłem w niej doskonale powody mojej szczerej litości: w jej pozornie radosnym gderaniu z przyjaciółką wyraźnie wyczuwalna była nienawiść do wszystkich mężczyzn na świecie, wymuszone samouwielbienie, imitowanie postaw z seriali takich jak *Seks w wielkim mieście*, a przede wszystkim, zazdrość, że siedzę teraz i jem śniadanie ze swoją córką – coś, czego Julija nigdy w życiu nie doświadczy. Z tego też powodu, ponownie – odczuwała nienawiść do mnie jako wybrańca spośród wszystkich mężczyzn. Wszystko to skrywało się za radosnym szczebiotaniem nad pudełkami upominkowymi z drogerii i za dołączonymi do nich drogimi kremami odmładzającymi. Żal mi zarówno tej rozszczebiotanej Juliji, jak tamtej Juliji, która tak samo głośno śmiała się 27 grudnia 1986 roku, kiedy dowiedziała się o ciąży Olesji, i żal mi też tamtej Juliji, która zakochała się we mnie naszego pierwszego dnia na uniwersytecie. Czasem nie ma nic smutniejszego niż uśmiech.

Zadowolona Wiktorija zaglądała do torby z nową sukienką.

– Posłuchaj mnie, Wiki, sukienka nie jest jedynym prezentem z okazji twojego pierwszego dnia studiów.

– Hihi, to co chcesz jeszcze mi kupić? – śmiała się naiwnie Wiki, a ja patrzyłem na nią z poważnym, lodowatym grymasem na twarzy.

– Mam dla Ciebie coś jeszcze, choć tym razem to nie ode mnie. To prezent od Twojej matki.

Mina mojej córki spoważniała. Bez pośpiechu sięgnąłem do wnętrza kurtki i wyjąłem kopertę. Równie powoli położyłem ją na stole przed Wiki. Pojawił się przed nią napis MOJEJ CÓRCE, a w linijce poniżej Z OKAZJI PIERWSZEGO DNIA STUDIÓW. Wpatrywała się przez moment w dedykację, po czym pogładziła kopertę i zaczęła ją ostrożnie otwierać. Odwróciłem wzrok w stronę okien, marząc o tym, by odpłynąć ponad dachy Lwowa i zostawiłem Wiki sam na sam ze słowami matki.

Moja droga Wiktorijo!

Mam Ci tak wiele rzeczy do opowiedzenia i tak mało czasu, sposobów i energii, aby to zrobić. W przypadku niektórych spraw, o których chciałabym Ci powiedzieć, będę musiała posłużyć się Twoim tatą, który wszystko Ci przekaże. Otóż musisz wiedzieć, że on zawsze jest po naszej stronie i spełnia wszystkie nasze marzenia i pragnienia. Nie mogłyśmy sobie wymarzyć lepszego ojca i męża. Chciałabym też, żebyś wiedziała, że jesteś owocem największej i jedynej prawdziwej miłości mojego życia. Mam nadzieję, że będziesz bezgranicznie kochać swojego ojca i że będziecie dogadywać się i funkcjonować jako rodzina bez zarzutów. Tak bardzo chciałabym być razem z wami. Może przynajmniej będę mogła oglądać Was z góry.

Wczoraj podłączono mnie do respiratora, więc wiem, że zbliża się mój koniec. Wiem to, ponieważ zarówno Twój dziadek, jak i babcia, a potem nawet Twój młody wujek, wszyscy oni zostali podłączeni do respiratora i zaledwie tydzień później – przestali oddychać. Chcę, abyś wiedziała, że w przeciągu ostatnich miesięcy doświadczyłam zarówno piekła, jak i raju, stąd też nie boję się śmierci. Teraz najważniejsze dla mnie jest to, że pomimo ogromu cierpienia sprowadziłam Cię na ten świat. Moja najdroższa córko, chciałabym teraz opisać okoliczności, w których urodziłaś się TY.

Kiedy tylko pojawiły się pierwsze objawy i gdy zdiagnozowano u mnie chorobę popromienną, w szpitalu w Kijowie powiedziano mi, że konieczna będzie aborcja. „Konieczna”, a nie „pożądana”. Nikt nie zapytał, czego chciałam ja sama. Kiedy w pewnym momencie sprzeciwiłam się, czy raczej ośmieliłam coś powiedzieć, usłyszałam, że w naszym przypadku prośba absolutnie nie jest brana pod uwagę. Państwo obawiało się narodzin potworów. W tym samym czasie gdy lekarze przygotowywali się do zabiegu, ja wybiegłam ze szpitala niczym wystrzelona z procy. Na samym początku zimy zmarł Twój wujek, więc zdecydowałam wrócić się do Lwowa. Byłam jednak świadoma, że również i tam nie pozwolą Ci się urodzić. Z drugiej strony, czułam, że rośnie we mnie zdrowe dziecko i wiedziałam, że cały wszechświat i każda komórka mojego ciała pracują nad tym, abyś była zdrowa. O takich sprawach może wiedzieć jedynie matka. Nie było jednak sposobu, aby udowodnić to lekarzom. I tutaj pomógł Twój ojciec. Przekupił lekarzy na Miecznikowej czterystoma rublami, aby przymknęli oko na wszystkie oczywiste symptomy choroby popromiennej i żebym mogła urodzić tak, jak gdybym była zdrowa.

Czy teraz już rozumiesz, moja kochana córeczko, dlaczego piszę do Ciebie ten list?

Piszę, żebyś wiedziała, że ja i Twój tata dzielnie trwaliśmy w walce o Ciebie. Chcieliśmy oboje dać Ci życie i udało nam się to. A teraz, gdy już wiem, że umrę, nie lękam się, bo umieram jako zwyciężczyni. Ty jesteś moim zwycięstwem, moja Wiktorijo. Każdy dzień Twojego życia to mój podarunek dla Ciebie. Każdego ranka po przebudzeniu odpakowujesz nowy prezent. Proszę Cię, doceniaj go i ciesz się każdym z tych podarunków. Codziennie rano będziesz poznawać nową SIEBIE, która z każdym kolejnym razem będzie choć odrobinę różnić się od CIEBIE z poprzedniego poranka. A każda z nowych CIEBIE jest moim podarunkiem dla Ciebie. Ty będziesz mieć przyjemność poznawania wszystkich tych wersji SIEBIE. Bądź dobra dla każdej z nich i pamiętaj, że są prezentem ode mnie. Ten świat jest wyjątkowy, a w nim Ty - równie wyjątkowa. Każda TY, jak na przykład TY pierwszego dnia studiów, będzie jedyną, wyjątkową i niepowtarzalną TOBĄ.

Kiedy Twój ojciec podał mi długopis, postanowiłam, że nie będę pisać do niemowlaka leżącego w łóżeczku obok mnie, lecz do swojej rówieśniczki. Tata wręczy Ci ten list Twojego pierwszego dnia studiów. Będziesz wtedy jedynie rok młodsza niż obecnie osiemnastoletnia ja. Myślę sobie o niemożliwych rzeczach i tak na przykład teraz chciałabym iść z Tobą wspólnie do jednej grupy na uczelni. Wyobraź sobie, jak ciekawie by było gdybym ja, zatrzymana w czasie, mogła kontynuować i skończyć z Tobą studia. Ta ja i tamta Ty – Ty w roku 2004. To jedynie fantazja sprzeczna z naszą ludzką naturą, ale mam prawo do takiej fantazji, ponieważ również i moja śmierć jest sprzeczna z moją własną, ludzką naturą.

Muszę powoli kończyć pisać ten list. Nie dlatego, że nie mam Ci nic więcej do powiedzenia, lecz dlatego, że brakuje mi już sił. Terapie, którym mnie poddają, wykańczają mnie do tego stopnia, że z ogromnym trudem trzymam długopis, którym pisze ten list.

Mama

Ostatnie linijki listu były praktycznie nieczytelne, a Wiktorija śledziła je niemal tonąc we własnych łzach. Dotarła do ostatniego słowa – *mama* – słowa, którego znaczenia Wiktorija nigdy nie będzie mogła w pełni zrozumieć, choć w tym momencie jest bliżej niż kiedykolwiek. W pośpiechu udałą się do toalety i zostawiła mnie samego. Zdałem sobie sprawę, że nie ma potrzeby, żebym pobiegł za nią, ponieważ jej reakcja na list matki była zrozumiała. Przez okna spoglądałem na operę, a następnie w dół, na uliczny bruk. Krzesło, na którym siedziałem było praktycznie przytwierdzone do przeszklonej ściany. Omiotłem wzrokiem okolicę, szukając czegoś, co pomoże mi pozbyć się bolesnej guli, która zakotwiczyła w moim gardle i zmuszała mnie teraz do płaczu. Wspomnienia z roku 1986 uderzyły mnie niczym fala. W ciągu ostatnich siedemnastu lat wielokrotnie odtwarzałem bieg wydarzeń z tamtego czasu, a teraz, pierwszego dnia studiów mojej córki, podczas gdy ona płakała w toalecie publicznej, a ja wpatrywałem się w kostkę brukową pięć pięter pod moimi stopami, zastanawiałem się, jak przetrwałem tych siedemnaście minionych lat. Jak, dajmy na przykład,

oparłem się tej przedziwnej sile, pchającej mnie ku temu, żeby rozłupać o bruk swój głupi, ludzki łeb i uwolnić się od ciężaru wszystkich grzechów przeszłości. Jednak wręcz przeciwnie, postanowiłem, że wezmę to brzemię na swoje barki i nigdy go nie zrzucę, ani nie ugnę się pod jego ciężarem. Byłem pewien, że w tej całej opowieści, ze mną w roli głównej, z żadnej strony nie padło na mnie pozytywne światło. Moją postać oświetlał co najwyżej reflektor egoizmu, po części w jego męskim, a po części w ogólnym, ludzkim wymiarze. W ciągu ostatnich siedemnastu lat wielokrotnie odtwarzałem bieg wydarzeń z 1986 roku, a teraz, pierwszego dnia studiów mojej córki, podczas gdy ona płacze w toalecie publicznej, a ja wpatruję się w kostkę brukową pięć pięter pod moimi stopami, rozpoczynam ostateczną rekonstrukcję zdarzeń.

Wszystko stawało się wyczuwalne jeszcze jesienią 1985 roku, co najmniej dwa miesiące przed właściwymi wydarzeniami. Sprawy działy się w jakimś ekscytującym rodzaju spowolnienia rzeczywistości. W grupie Ołesji wykłady wygłaszałem jedynie raz w tygodniu, w czwartek, a każdy z tych wykładów stawał się nieuchronnym krokiem naprzód. Wytworzyła się szczególna chemia pomiędzy moim zdystansowanym spojrzeniem spod tablicy, a jej spojrzeniem spod brwi, a przede wszystkim, między naszymi wieloznacznymi, obustronnymi uśmiechami. Prowadząc wykład, nauczyciel omiata spojrzeniem każdego ucznia, ale jego mimika w każdym wypadku nieznacznie się zmienia. Tak więc, podczas gdy wykładowca obserwuje wszystkich studentów, a wszyscy studenci spoglądają na niego, nie widząc siebie nawzajem, wtedy właśnie wykładowca i „wybrana” studentka mają możliwość przekazywać sobie energię i informacje w sposób niezauważalny dla reszty grupy.

Niemniej jednak, to nie ja pierwszy wykonałem kluczowy krok w naszej relacji, lecz Ołesia, która na jedno z pytań na kolokwium odpowiedziała „Podobasz mi się”. Za każde zadanie na teście można było zdobyć 10 punktów, tak więc studenci, odpowiadając na 5 pytań, mogli zdobyć nawet 50 punktów. W następny czwartek oddałem studentom poprawione kolokwia, a pod błędnie rozwiązanym zadaniem w pracy Ołesji postawiłem 10 punktów. „Zwróćcie uwagę na te pytania, za które otrzymaliście mało punktów” – powiedziałem studentom, wręczając im poprawione prace i spoglądając kątem oka na płonącą ze wstydu, radości i podniecenia twarz Ołesji. Fakt, że oceniłem jej „Podobasz mi się” na 10 punktów, stanowił moją pozytywną odpowiedź i dawał jej jasno do zrozumienia, że nasze przyszłe intymne spotkanie jest tylko kwestią miejsca i czasu.

Kiedy z każdym czwartkiem zbliżaliśmy się do siebie małymi krokami, Ołesia równocześnie oddalała się od Rostisława. Ostatecznie zerwała z nim w dniu, w którym dostała test z 10 punktami za swoją niezwykle uroczą odpowiedź. Później wyjawiła mi, że nagabywał ją, że tak naprawdę nigdy go nie kochała i że była z nim zaledwie dwa, trzy miesiące wyłącznie z nudów – tylko dlatego poddała się naciskowi jego natarczywych pochlebstw. Zmiany w jej podejściu do Rostisława – te, o których Rostisław opowiadał później Juliji, stanowiły

jedynie konsekwencję rozwoju jej uczuć do mnie. Nie chodziło o żadną sektę, ani też Ołesia nigdy nie zajmowała się prostytucją. Rostisław był po prostu jednym z milionów mężczyzn na świecie, którzy nazywają „kurwą” każdą dziewczynę, która da im kosza. Później także i Julija zmieniła się w jedną z milionów kobiet, które z radością słuchają plotek o tym, że jej rywalka jest kurwą. Z ich strony była to całkiem zrozumiała reakcja, lecz w takim razie kim byłem ja? Mógłbym dołączyć do grona milionów egoistów na świecie, którzy oczerniliby każdego, byle tylko uczepić się kurczowo i utrzymać pozycję, do której wcześniej udało im się mozolnie dochrapać. Na zebraniu wydziałowym nazwałem Ołesję „prostytutką”, choć doskonale wiedziałem, że w całym swoim życiu była tylko z jednym mężczyzną. Już w trakcie mojego przemówienia na wydziale, przed oczami pojawił mi się widok plamki krwi, która wytworzyła się na trzeciej ławce w sali nr 224, kiedy to Ołesia straciła dziewictwo ze swoim profesorem. Sam wybór miejsca – trzecia ławka w sali 224 – był podyktowany pobudkami psychopatologicznymi: w tej samej sali i w tej samej ławce siedziała Julija swojego pierwszego dnia studiów w 1969 roku.

W następnych dniach, w grudniu i styczniu przełomu 1985 i 1986 roku spotykaliśmy się z Ołesją jeszcze kilka razy w salach wykładowych i w mieszkaniu rodziny Juliji przy ulicy *Liczakiwskiej*, lecz okazało się, że miejsce schadzek staje się poważnym problemem. Ołesia mieszkała w akademiku na ulicy *Pasicznej*, a my nie chcieliśmy być zauważeni przez innych studentów, którzy tam przebywali. Mieliśmy też na głowie Rostisława, który zmienił się w prawdziwego maniaka. Mieszkałem w tym czasie z Juliją, która, choć nie wątpiła w moją wierność, pracowała w pobliżu i moment jej powrotu do domu był dość nieprzewidywalny.

Pewnego wieczoru, u schyłku roku 1985, jeden z dwóch głównych kandydatów na kierownika katedry, Bodenko, wróciwszy się na wydział, usłyszał miłosne okrzyki płynące z jednej z sal. Mając nadzieję, że zastanie w środku profesora Pirowskiego ze swoją studentką, zaczął dobijać się do drzwi, które okazały się być zamknięte. Bodenko zapukał więc i krzyknął, a wtedy my zamarliśmy, nie odrywając naszych splecionych ciał i czekaliśmy, aż odejdzie. Następnego dnia Bodenko rozpoczął polowanie na Pirowskiego. Jednym z jego argumentów był fakt, że prowadził on wtedy co tydzień, dokładnie o tej porze, zajęcia indywidualne z jedną ze swoich najzdolniejszych studentek, co do której snuł plany, aby została na wydziale i pracowała w charakterze jego asystentki, kiedy już stanie się kierownikiem katedry. Pirowski jedynie mi zdradził, że odwołał zajęcia ze studentką z powodu zbliżających się świąt. Postanowiłem więc wykorzystać wolną salę na spotkanie z Ołesją. W kolejnych dniach, w szczytowym momencie polowania na Pirowskiego, wielu na wydziale spodziewało się, że stanę w jego obronie. Nie zrobiłem tego jednak z bardzo prostego powodu: dopóki podejrzenia były skierowane w stronę Pirowskiego, mój sekret był bezpieczny, a mój komfort gwarantowany. Mój mentor natomiast znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Dopiero gdy został już haniebnie wyrzucony z uczelni, postanowiłem mu pomóc. Przekonałem Juliję, aby pozwoliła Pirowskiemu zamieszkać

przez kilka miesięcy w pustym mieszkaniu na ulicy *Liczakiwskiej*, które należało do rodziny Juliji. Pirowski przeprowadził się wcześniej do Lwowa i nie miał własnego mieszkania, a jedynym jego źródłem utrzymania była praca na uniwersytecie. Kiedyś opowiadał mi, że zanim otrzymał posadę na uczelni, przeżył nawet krótki okres bezdomności. Z tego też powodu mieszkanie rodziny Juliji było jedynym sposobem na uratowanie mojego mentora.

Pirowski został zwolniony w styczniu 1986 roku, zaraz po Bożym Narodzeniu, a do mieszkania na *Liczakiwskiej* wprowadził się pod koniec miesiąca. Tym samym jedno z dwóch miejsc intymnych schadzek z Ołesją było zajęte, więc zostały nam jedynie sale na wydziale. Te z kolei okazały się bardzo ryzykowne. W tym samym czasie Ołesia spędziła dwa tygodnie ferii zimowych w rodzinnej Prypeci. Wykorzystałem ten czas na rozwiązanie nowopowstałego problemu i wybrałem rozwiązanie idealne dla naszej dwójki. Na ulicy *Stefanika*, w najbardziej romantycznej części lwowskiej starówki, u podnóża wzgórza, na którym wznosi się cytadela, wynająłem mieszkanie w świetnym stanie i ze wspaniałą sypialnią. Zapłaciłem za cztery miesiące z góry. Mogłem pozwolić sobie na wydatek tego rodzaju, choć pensja profesorska raczej nie wystarczyłaby na jego pokrycie. Po prostu sytuacja finansowa rodziny Juliji była na tyle dobra, że zawsze starczało na wszystko, a znaczna część finansów mogła niezauważenie odpłynąć. Ołesia była bardzo zadowolona – nie tyle z samego mieszkania, co z tego, że postarałem się, aby zapewnić wspaniałe warunki dla naszej relacji. Po powrocie z Prypeci, wróciła do akademika jedynie na chwilę, tylko po to, żeby zabrać parę ubrań i, promieniejąc szczęściem, przeniosła się do swojej nowej siedziby.

Przez kolejne dwa i pół miesiąca w mieszkaniu na *Stefanika* przeżyliśmy z Ołesją najpiękniejsze chwile w naszym życiu. Nie pozwoliłem oczywiście na to, aby w Juliji zaczęły rodzić się choćby najmniejsze wątpliwości. Moje godziny pracy były elastyczne i zawsze znalazł się czas, przed lub po zajęciach. Ołesia również miała prawo do kilku nieobecności na wykładach. Musiałem jedynie wysilić się, aby „ukryć” lokalizację. Mieszkanie znajdowało się w pobliżu biblioteki naukowej, co nie do końca nam sprzyjało. Niebezpieczeństwo sprowadzało się do możliwości, że któraś z przyjaciółek Juliji zauważy mnie w chwili, gdy wchodzę do tego konkretnego bloku. Znalazłem jednak łatwe rozwiązanie tego problemu: wyjaśniłem Juliji, że młode małżeństwo planujące wyemigrować do Polski poprosiło mnie, żebym udzielił im na wiosnę intensywnego kursu języka polskiego, a poprosili mnie tak gorąco, że nie byłem w stanie im odmówić. Małżeństwo to mieszka w tym i tym budynku, w pobliżu biblioteki naukowej, a termin zajęć będziemy na bieżąco ustalać, najczęściej jednak po pracy lub wieczorami, w ich mieszkaniu. W ten oto sposób w pełni przygotowałem grunt pod romans doskonały.

Już na samym początku ustaliliśmy, że nasz związek będziemy utrzymywać w ścisłej tajemnicy. Ołesia dotrzymywała umowy niemal bezwzględnie, jedynie za wyjątkiem swojej najlepszej przyjaciółki. Młode

studentki zawsze mają „najlepsze przyjaciółki”, które „na pewno nic nikomu nie powiedzą”. Najlepsza przyjaciółka Ołesji miała jednakże inne najlepsze koleżanki, a one, kolejne najlepsze przyjaciółki. W marcu 1986 roku praktycznie wszyscy studenci wydziału filologicznego wiedzieli o romansie Ołesji z profesorem Kowalenko. Od tego momentu Ołesia już niczego przed nikim nie ukrywała. Nie chowała nawet zdjęcia, które jej podarowałem. Na szczęście, była to tajemnica studencka i żaden z profesorów o niczym się nie dowiedział.

Pod koniec marca moje relacje z Ołesją zaczęły się psuć. Ujawniła się jej wrodzona, kobieca potrzeba rozwijania związku. Wszystko, co do tej pory wydarzyło się między nami, było dla niej sukcesywnymi etapami naszej relacji, a każde wejście na wyższy poziom sprawiało jej radość, stąd teraz nieuchronnie zbliżaliśmy się do kolejnego, wyższego etapu. Przez „kolejny etap” Ołesia miała na myśli rozwód z Juliją. Gryząca ją od wewnątrz zazdrość podszeptywała jej, że finalnie może okazać się, że jedynie ją wykorzystywałem. Julija tymczasem zauważyła, że część mojej energii ciągle gdzieś się marnowała, ale szybko przypisała to przepracowaniu. Żadne przepracowanie nie miało miejsca, ale jest to chyba paradoks i jednocześnie zaleta pracy akademickiej: profesor może nic nie robić, ale wszyscy i tak uwierzą mu, że chociaż nie pracuje, to cały czas myśli – to znaczy, pracuje. „Odpuść przynajmniej te prywatne lekcje. To cię kompletnie wyczerpuje. Wiesz przecież, że nie potrzebujemy żadnego dodatkowego przychodu” – przekonywała mnie Julija. Na początku kwietnia obiecałem jej więc, że odpuszczam lekcje indywidualne, ale muszę jedynie dokończyć jeszcze jeden temat, bez którego to biedne małżeństwo nie poradzi sobie w Polsce. Temat ten zajmie nam maksymalnie dwa tygodnie.

Długo szacowałem, jak subtelnie rozwiązać sprawę z Ołesją. Byłem dumny, że udało mi się ją uwieść i namówić ją, aby oddała mi się w całości. Byłem dumny, że udało mi się w pełni wykorzystać okazję, aby czerpać życiodajne soki z jej młodego ciała. Było naprawdę cudownie, cel został osiągnięty, lecz teraz nadchodził czas, aby zakończyć naszą wspólną historię, stawiając stanowczo kropkę. W tym konkretnym momencie musiałem być szczególnie ostrożny. Wiedziałem, że jeśli źle to rozegram, wtedy młoda studentka znajdzie sto różnych sposobów, aby zaszkodzić swojemu lubieżnemu profesorowi. Zależało mi jedynie na tym, żeby zerwać w taki sposób, który nie odciśnie piętna na mojej karierze.

Dwa tygodnie do „naszej ostatniej lekcji” zmieniły się w trzy, lecz finalnie wyszedłem na tym dobrze. Te trzy kwietniowe tygodnie były męczące i wypełnione zarówno kłótniami, jak i scenami, które celowo aranżowałem, aby udowodnić Ołesji, że nie nadajemy na tych samych falach. Dwudziestego pierwszego kwietnia wyszedłem z mieszkania naprzeciwko biblioteki i nigdy już do niego nie wróciłem. Czynsz opłacony był do końca maja, żeby Ołesia mogła tam jeszcze pomieszkiwać.

Swoim ostatecznym odejściem zraniłem Ołesję tak bardzo, że wytrzymała jedynie cztery rozpaczliwe dni, szalejąc z bólu w opustoszałym mieszkaniu. Rankiem dwudziestego piątego kwietnia spakowała się i

wyjechała do rodzinnej Prypeci, mając nadzieję, że ciepło rodzinnych stron pomoże jej ukoić duszę. I tak, mniej więcej w tym okresie planowała wrócić do domu i spędzić tam łączone święta – pierwszy maja i dziewiąty maja, stąd też mówiła mi wcześniej, że będzie wtedy za mną tęsknić. Jako, że dwudziesty piąty kwietnia wypadał w piątek, postanowiła opuścić zajęcia 28, 29 i 30 kwietnia, bo i tak nie byłaby w stanie pojawić się na nich. Pierwsza noc w Prypeci nie wróżyła niczego dobrego zranionemu sercu.

Wieczorem znowu nie mogła zasnąć i stale maszerowała z łóżka na taras i z powrotem, wstawała i kładła. Było po pierwszej w nocy, kiedy siedziała podparta na poręczy balkonu i obserwowała gwiaździste niebo nad Prypecią i rozpaczliwie pragnęła, aby coś się zmieniło. Abym pojawił się ja, znikąd, aby spadła gwiazda, aby spadł meteoryt, coś skądś, aby eksplodowało… i w tym momencie eksplodował czwarty reaktor w elektrowni w Czarnobylu.

Nie wiedziałem gdzie jest Ołesia, cieszyłem się, że zbliżały się święta i że nie spotkam jej przynajmniej do 12 maja. Potem pozostało mi wytrzymywanie przypadkowych spotkań z nią jeszcze do końca maja, a potem wreszcie zaczną się letnie wakacje. Innymi słowy, wybrałem prawie optymalny termin na rozstanie. Miałem nadzieję, ze Ołesia nie przyjdzie na moje wykłady i pozostanie mi tylko znosić niedogodność przypadkowych spotkań na korytarzach na uniwersytecie. Wtedy spełniło się nawet więcej niż pragnąłem: Ołesia nie tylko nie pojawiała się na moich wykładach, ale też nie spotykałem jej na korytarzach na uczelni, ani też gdzieś na zewnątrz na ulicach Lwowa. Nie rozpytywałem o nią i nie chciałem wiedzieć, czy zalicza egzaminy w czerwcowej sesji. Byłem zadowolony, że wszystko potoczyło się tak, jak tego chciałem.

W czerwcu rozgrywały się Mistrzostwa Świata w piłce nożnej w Meksyku. Stworzyłem idealne warunki do oglądania. Telewizor w kolorze, co było rzadkością i przywilejem bogatych w tym 1986 roku, przeniosłem do sypialni, ponieważ tam było chłodniej w porównaniu z jadalnią, w której często się coś gotuje. Ustawiłem fotel jak trzeba, tak, aby móc wyciągnąć nogi na łóżku małżeńskim. Po lewej stronie miałem szafkę, a nad nią lustro wysokie na dwa i pół metra. Tak, aby na wszelki wypadek oglądając piłkę nożną, od czasu do czasu, móc przejrzeć się w lustrze.

Te mistrzostwa zostaną zapamiętane po tym, czym zabłysnął Maradona. Podziwiałem go oglądając go w ćwierćfinale przeciwko Anglii i zazdrościłem mu światowej sławy, mimo że jeden z dwóch goli był strzelony ręką. Ale potem przeglądając się w lustrze pomyślałem, że też jestem człowiekiem sukcesu: mieszkam w pięknym mieszkaniu, we wspaniałym mieście, mam śliczną i bogatą żonę, przed dwoma miesiącami miałem pierwszej klasy kochankę, z którą bezboleśnie się rozstałem, mam cenioną pracę.

Na koniec mistrzostw, kiedy Niemcy przegrały w finale z Argentyną, rozmyślałem o naturze porażki. Co mogłoby pocieszyć niemieckich piłkarzy i ich kibiców? Czy byłoby prawdziwym pocieszeniem to, gdyby pokonali Argentynę cztery lata później w finale w następnych mistrzostwach świata?

Pokonana przez śmiertelną dawkę promieniowania matka Ołesji zmarła 22 czerwca – w dniu, kiedy rozgrywały się ćwierćfinały między Anglią a Argentyną. Z powodu przepełnionych szpitali, dopiero w lipcu dziewczynie udało się wykonać badanie ginekologiczne i potwierdzić ciążę, której była świadoma już w maju. W połowie sierpnia ojciec Ołesji był hospitalizowany, a pod koniec lata ona i jej brat stracili oboje rodziców. Mniej więcej w tym okresie i u nich zaczęły pojawiać się objawy świadczące o narażeniu ich na nadmierną dawkę promieniowania. We wrześniu szpital w Kijowie zaproponował jej zakwaterowanie, jednakże uciekła, ponieważ w pierwszej kolejności chciano dokonać u niej aborcji. Po śmierci brata, w listopadzie 1986 roku, Ołesia została sama i wróciła do Lwowa. Jej wyniszczone ciało z dnia na dzień wyglądało gorzej, ale wiedziała, że pozostała jej jeszcze jedna i ostateczna bitwa: wytrzymać do porodu w grudniu. Problem z postawą szpitali pozostał i był trudniejszy do pokonania przez wychudzoną młodą ciężarną. Nawet lekarze ze Lwowa nie ośmieliliby się przyjąć na świat potencjalnego potwora. Wtedy Ołesia obmyśliła genialny plan. Kilka dni przed sesją egzaminacyjną na uczelni, skontaktowała się ze studentką, która później, 23 grudnia, prowokacyjnie ubrana przyszła do mnie na egzamin. Studentka przekazała, że wszyscy, którzy nie chcą się uczyć do mojego egzaminu, wszyscy, którzy wolą kupić ocenę, muszą zebrać indeksy i oddać je dziewczynie. Przy tym powiedziała, ile kosztuje u mnie egzamin, i to precyzyjnie – z osobną taryfą za każdą ocenę. 400 rublami, które zebrała jako myto za moje egzaminy, przekupiła ginekologów w szpitalu na *Miecznikowej*, aby zignorowali rozkaz z centrali w Kijowie, aby mogła rodzić tak, jakby była zdrowa. Ołesia zebrała jeden rodzaj alimentów od ojca dziecka. W liście do Wiktoriji w pierwszym dniu na uczelni napisała, że to ja przekupiłem ginekologów. Oprócz tego, w liście do mnie, Ołesia napisała: *Lepszego ojca i męża nie mogłyśmy sobie życzyć.* Wyjaśnienie, dlaczego Ołesia napisała do niej, do swojej córki, znajduje się w następnym zdaniu tego listu: *Mam nadzieję, że z tatą będziecie się zawsze kochać i będziecie się zgadzać oraz bezbłędnie funkcjonować jako rodzina.* Ołesia nie śmiała zdradzić swojej córce brzydkiej prawdy o mnie.

Kiedy Lida Jaremczuk odkryła prawdę o moim romansie z Ołesją, zacząłem rozpaczliwie walczyć o utrzymanie swojego statusu, okłamywać wszystkich i brukać imię dziewczyny. Ksiądz Stepan w kościele św. Jurija powiedział mi na spowiedzi, że mój przypadek tchórzostwa może być najcięższym grzechem. Więc tu przypadkowo została postawiona „diagnoza”: tchórzostwo leży w sercu, we wszystkich moich działaniach.

27 grudnia, kiedy wpadłem do sali szpitalnej, twarz Ołesji była wyczerpana, prawie nie do poznania. Od Nowego Roku ja, Ołesia i nasza córka — Wiktorija, mieszkaliśmy w wynajmowanym mieszkaniu na ulicy *Pasicznej* naprzeciwko samych akademików. Bez finansowego komfortu, które zapewniało mi małżeństwo z Juliją, zostało mi pieniędzy na półtora do dwóch miesięcy. Narodziny Wiktoriji automatycznie odpięły moje

dwa pasy bezpieczeństwa, które trzymały mnie we Lwowie. Straciłem Juliję i pracę na Uniwersytecie Lwowskim. Mimo to musieliśmy zostać we Lwowie z powodu opieki medycznej, której na co dzień potrzebowała Ołesia.

Zaraz po moim nieoficjalnym rozwodzie z Juliją, Pirowski został wyrzucony z mieszkania na *Liczakiwskiej*. Julija była bezwzględna wobec wszystkiego, co było ze mną związane. Prawdopodobnie słusznie. Na koniec stycznia wysłałem list do dziekanatu i do Bodenki. W liście wyjaśniłem, że Pirowski został niesłusznie zwolniony, i że to ja byłem z Ołesją w sali wykładowej. Mimo tego Bodenko nie chciał ponownie zatrudnić swojego największego konkurenta. Treść listu, jakąś nieznaną drogą, dotarła również do niego. Pirowski rozgniewał się na mnie i od tego momentu nigdy już go nie widziałem. Chciałbym wierzyć, że jakoś uratował się od bezdomności.

W styczniu każdego dnia Wiktorija coraz lepiej się rozwijała, natomiast jej matka coraz bardziej słabła. Nie wypuszczałem ich z ramion i rozpaczliwie pragnąłem nadrobić wszystko, co straciliśmy. Jak ręką odjął, niemożliwie szybko zapomniałem Juliję i uczelnię. Myślałem tylko o zdrowiu swojej rodziny. Oprócz tego modliłem się kilka razy dziennie i chodziłem do spowiedzi, do ojca Stepana i wyjawiłem mu wszystko. Walczyłem, modliłem się i miałem nadzieję, że kardynalna zmiana w moim zachowaniu będzie szczodrze wynagrodzona i jakoś uzdrowi Ołesję. W tych dniach kochałem ją bez końca i zrozumiałem, że mogłem zawsze ją tak kochać, gdybym tylko pomógł miłości przeskoczyć przez wysoki mur egozimu.

W relacjach z Ołesją od samego początku pojawiło się jedno niezaprzeczalne uprzedzenie: była za młoda i niedojrzała, nigdy nie pasowała do dojrzałego profesora. Jednakże okazało się, że dziewczyna jest posiadaczką mądrości życiowej, której mi zabrakło. Mianowicie, list do swojej córki zaadresowała do siedemnastoletniej Wiktoriji. Ołesia postanowiła „złapać” swoją córkę w jednym określonym dniu: jej pierwszego dnia na studiach. W przeciwieństwie do niej, ja całe swoje miłosne życie poszukiwałem tamtej Juliji, w której zakochałbym się pierwszego dnia studiów, która istniałaby tylko jeden raz w historii świata. W imię takiej miłości w 1981 roku bez wahania odrzuciłem swoją ówczesną dziewczynę, by tylko być z Juliją, chociaż później nie czułem już wobec niej żadnych emocji. Wszystko było w imię mojej niespełnionej miłości z pierwszego dnia studiów. Jednak trzydziestoparoletnia Julija była inną osobą niż ta siedemnastoletnia. Zdobycie Juliji okazało się niewystarczające. Sukces musiał zostać osiągnięty. Z tych motywów uwiodłem siedemnastolatkę. Z tych pobudek zhańbiłem Ołesję na trzeciej ławce w sali wykładowej 224. Wszystko to było w imię mojej niespełnionej miłości od pierwszego dnia studiów. I dojrzała Julija w domu, i siedemnastoletnia Ołesia na uczelni, obie były moimi ofiarami poszukiwań siedemnastoletniej Juliji z pierwszego dnia na studiach, która istniała tylko jeden raz w historii świata.

Zespół naukowców, który miesiącami studiował wpływ Czarnobyla, w styczniu wreszcie wystąpił przed publicznością. Mieliśmy nadzieję, że nazwy chorób, które wymieni przedstawiciel zespołu w swoim przemówieniu, nie będą przesadnie straszne. Przemówienie brzmiało mniej więcej tak: „Nasz zespół w ostatnich miesiącach był odpowiedzialny za zbadanie szkodliwości owoców ze stref skażonych promieniowaniem tak zwanych zainfekowanych obszarów, w tym konkretny przypadek skutków z tak zwanej czarnobylskiej strefy. Chciałbym, w imieniu całej grupy, poinformować opinię publiczną, że badania zakończyły się sukcesem. Konsekwencje tego są następujące: owoce zebrane w zainfekowanym obszarze nie są aż tak szkodliwe dla ludzkiego organizmu, jak pierwotnie sądzono. Wykazały to wszystkie badania najwybitniejszych w swoich dziedzinach naukowców z całego ZSRR. Nasz zespół ekspertów wyjaśnił te wyniki badań na podstawie drzew i ich owoców. Mianowicie, drzewa są obdarzone specjalnym systemem ochrony płodu. Nawet w sytuacji, gdy prawie całe drzewo jest zniszczone na skutek promieniowania, kiedy efekty promieniowania są widoczne i po łodygach, jak i po gałęziach, a zwłaszcza po liściach, które utraciły swój naturalny kolor i stały się brązowo-szare, dopóty drzewo wydaje owoc, ten owoc bardzo często może być taki, jak z normalnego, zdrowego drzewa. Dlatego też, w imieniu całego zespołu, chcę uspokoić obywateli naszego kraju”.

Bóg lub natura stworzyły drzewa z niesamowitym systemem ochrony płodu, lub drzewa z wbudowaną świadomością, że płód jest jego najważniejszą częścią, najważniejszym celem jego istnienia. Ta świadomość ważności owocu może być wrodzona, a może nabyły ją drogą ewolucji. Ołesia zaszła w ciążę w wieku siedemnastu lat i wiedziała, że w jej brzuchu rośnie zdrowe dziecko. Jej ciało, jak i cały organizm były jak drzewo z brązowymi liśćmi ze zniszczonymi od promieniowania gałązkami. Najlepsze z jej organizmu przeszło w owoc, jak jabłoń w Czarnobylu, która sprawiła, że jej płód dojrzał tylko z tego, co miała w sobie najlepsze, nie dopuszczając szkodliwych czynników, aby przeszły przez mechanizm obronny.

Przez cały styczeń byłem całkowicie oddany swojej rodzinie. Ołesia była głównie leczona w domu, ponieważ sami lekarze wierzyli, że ciepła rodzinna atmosfera z nowo narodzoną córeczką i kochającym mężem może być jedyną cudowną opcją. Ani ona, ani Wiktorija nie sypiały dobrze. Ołesia przeważnie spała, a jak nie spała to z wysiłkiem starała się podtrzymywać normalną rozmowę. Poprosiła mnie, abym kupił jej książkę *Dama kameliowa*. Czytała ją cały miesiąc, ale dopiero na początku lutego udało jej się skończyć, a na koniec się rozpłakała. W tamtych dniach jej stan zdrowia dawał mi jeszcze nadzieję.

Szóstego lutego późno w nocy straciła przytomność. W mieszkaniu nie mieliśmy telefonu i nie mogłem wezwać karetki. Byliśmy sami, nikt nie mógł nam pomóc. Wziąłem ją na plecy i wyszedłem na ulicę *Pasiczną*, zostawiając dziecko samo w mieszkaniu. Na zewnątrz panował syberyjski chłód. Do szpitala na *Miecznikowej*

mieliśmy około 30 minut pieszo przy dobrej pogodzie. Ruszyłem wzdłuż ulicy mając nadzieję na zatrzymanie jakiegoś pojazdu. Już po pięciu minutach spaceru znalazłem taksówkę. Taksówkarz zatrzymał się, ale potem jak dobrze wpatrzył się w twarz mojej żony zaczął głośno marudzić, mówiąc: „Ta to na pewno jest z Czarnobyla, z dala od mojego samochodu!” Potem pospieszył w dół *Pasicznej*, zostawiając nas samych z dymem spalin z wydechu jego wołgi. Zrozumiałem, że pójście chodnikiem nic nam nie przyniesie. Ruszyłem na cmentarz Liczakowski. Stamtąd można sobie było całkiem skutecznie skrócić drogę. Nad cmentarzem była niesamowita mgła, a śniegu było po kolana. Nic przed sobą nie widziałem, ale ruszyłem na ślepo. Kilkakrotnie poślizgnąłem się i upadłem, schodząc na brzeg cmentarza. Cała moja uwaga była skupiona na nieruchomym ciele Ołesji i w ogóle nie czułem bólu po upadkach. Ważne było tylko to, aby wszystkie możliwe urazy pozostały w granicach mojego ciała, i że kobieta pozostanie nieuszkodzona. Tak jak jabłoń w Czarnobylu wychwyciła wszystkie cząstki radioaktywne, ale nie dopuściła ich do płodu. Właśnie tak ona znosiła skutki napromieniowania i nie dopuściła ich do swojego dziecka.

W szpitalu na *Miecznikowej* otrzymała wlew z odpowiednim leczeniem i szybko odzyskała przytomność. Kiedy mnie zobaczyła obok, ściągnęła maskę z tlenem i pytała o Wiktoriję. Musiałem ją zostawić i wrócić do domu, do córki.

Następnego ranka Ołesia poczyniła znaczne postępy, wcześniej ponad dwa tygodnie nie wstawała z łóżka. Poprawa była efektem leczenia, które w szpitalu było bogatsze, lepsze. Tego ranka poprosiła mnie o kartkę papieru, pióro i napisała list do Wiktoriji. Kiedy go pisała. półtoramiesięczna Wiktorija leżała obok niej. Nie zdecydowała się pisać tego listu do niej, lecz do siedemnastoletniej Wiktoriji.

Obok nieprawdziwych informacji o mnie, Ołesia w liście do Wiktoriji kłamała też o sobie: „… leki, które dostaję, osłabiają mnie tak, że z trudem trzymam pióro pisząc ten list”. Nie osłabiło jej leczenie, wręcz przeciwnie, to ono dało jej siłę do napisania tego listu. Długo potem próbowałem wyjaśnić ten ostatni fragment listu od Ołesji. Udało mi się to dopiero po przeczytaniu *Damy kameliowej*. Fragment ten został skopiowany z listu, który Dama napisała do ukochanego Armanda. Prawdopodobnie to ten fragment wywarł na Ołesji największe emocje, więc postanowiła nim uzupełnić swój list. Ołesia miała tylko osiemnaście i pół roku. Prawdopodobnie sam pomysł napisania listu do córki pochodził właśnie z *Damy kameliowej*. Prawdopodobnie.

Czternasty lutego to według katolików święto miłości, a takie dni były obchodzone we Lwowie, które było pod katolickim wpływem. Chciałem zaskoczyć żonę i z samego ranka objechałem wszystkie targi z kwiatami we Lwowie, dopóki nie znalazłem świeżych kamelii. Do szpitala wkroczyłem wesoły i pogodny. W myślach wyobraziłem sobie uśmiech na zniszczonej, ale nadal najpiękniejszej twarzy Ołesji. Kiedy wszedłem do sali pielęgniarka kończyła słać pościel na pustym łóżku. Spojrzała na mnie i powiedziała tylko tyle:

– Ofiarom Czarnobyla przysługuje pomoc przy pogrzebie. Proszę zwrócić się do sekretarki lekarza głównego w celu wydania zaświadczenia.

Kiedy wróciłem do domu, czułem się okropnie. Chciałem znaleźć winnego i się na nim zemścić. Ale kogo miałem winić? Czułem się jeszcze bardziej pokrzywdzony, ponieważ nie mogłem nikogo za to winić. Inżynierowie, którzy dopuścili do awarii w czwartym reaktorze od dawna byli martwi. Miałem obwiniać całe państwo? Śmiertelną ludzką naturę? Boga? Im więcej myślałem, tym bardziej zbliżałem się do odnalezienia jedynego możliwego winowajcy. Moja prawa ręka, znienacka, uderzyła mnie w skroń. Zachęcona postawą prawej ręki, lewa podbiła mi lewe oko. Potem prawa uderzyła mnie w zęby rozcinając mi górną wargę. Lewa znów uderzyła mnie w nos. Uderzyłem się w głowę aż polała się krew. Następnie oparłem czoło o lustro i obserwowałem jak krew kapała na górną część umywalki. Odchyliłem się i z całej siły uderzyłem w lustro. Małe odłamki wbiły się w moje czoło. Następnie spojrzałem w to co zostało z lustra. Nagle wyglądałem przystojnie. Moja twarz została zmasakrowana, a i tak była ładniejsza od tego Iwana, który patrząc w lustro, oglądał jednocześnie mecz piłki nożnej.

Po śmierci Ołesji pozostaliśmy we Lwowie jeszcze sześć dni. Tyle czasu było potrzebne, abym jako tako wyleczył rany od pobicia się. Jeśli ruszylibyśmy wcześniej, poobijany mężczyzna z małym dzieckiem na dworcu kolejowym we Lwowie, wyglądałby podejrzanie. W tamtych dniach męczyły mnie koszmary, a jeden z tych snów pozostał w mojej głowie do dziś:

Siedzę w mieszkaniu na *Piekarskiej* z nogami wyciągniętymi na łóżku i oglądam mecz Argentyna – Anglia. Maradona zdobywa bramkę „z ręki” i szaleje z radości. Sędzia wbiega z uniesioną ręką i gwiżdżąc ogłasza zagranie ręką nie fair. Rozczarowany piłkarz przerywa i z pochyloną głową przyjmuje żółtą kartkę. Patrzę na siebie w lustrze i dostrzegam Juliję podlewającą kwiaty w pokoju, odwracam się w prawo, ale w pokoju, w którym jestem nie ma jej. W pokoju po tej stronie lustra leży nieruchome ciało Ołesji, a obok łóżka świeci się smutnie żółte światło lampy stołowej. Potem spojrzałem w telewizor, w lustro, i zrozumiałem, że po tej stronie lustra gol Maradony jednak został uznany. Popatrzyłem na siebie w lustrze i zobaczyłem, że zza moich pleców, Julija wzięła do rąk wazon, zamachnęła się mocno i uderzyła mnie nim w głowę. Okazało się, że moja głowa jest z jakiejś porcelany lub masy plastycznej i pękła jak kręgle. Następnie Julija/Maradona rozpędziła się i na kolanach przed lustrem groźnie cieszyła się z trafionego gola, jak przed kamerami.

Kiedy wróciliśmy do mojej podkarpackiej rodzinnej wioski, nie czułem, że coś tracę. Przeciwnie, wiedziałem, że tam mogę zapewnić Wiktoriji lepsze dzieciństwo, niż w zimnym Lwowie, w którym nikomu nie byliśmy potrzebni. Przez następne siedem lat, w objęciach legendarnych Karpat, Wiktorija wyrosła i

rozwinęła się w piękną dziewczynkę. Ja natomiast, byłem takim ojcem jak Ołesia, w swoim liście do siedemnastoletniej Wiktoriji, chciała, abym był. Poczułem, że ciężar z przeszłości nie pozwala mi popełnić ani jednego błędu w wychowaniu mojej córki. Liczyłem, że tylko tak mogę spłacić nagromadzony dług względem świata. Przyjąłem rady Pirowskiego, że tylko wtedy kiedy obrócimy szachownicę, i kiedy spojrzymy z jednego punktu na drugi, tylko tak zobaczymy prawdziwą wartość, pozycję i perspektywę na jego figury, tylko wtedy zobaczymy prawdziwe uczucia i potrzeby drugiego. Tym najbardziej wysublimowanym zadaniem ludzkiego istnienia jest to, że dostrzega najbardziej skryte uczucia i potrzeby drugiego, a następnie, na podstawie tej wiedzy, chroni go i wybiera dla niego najodpowiedniejszy podarunek – *dla drugiego*. Z jakichś powodów, my naprawdę jesteśmy tymi, którzy chronią go, a ja i Ołesia chroniliśmy naszą córkę.

W 1994 roku, już w niepodległej Ukrainie, Wiktorija wygrała państwowy konkurs pianistyczny. Została uznana za najbardziej uzdolnioną muzycznie dziewczynkę w 50-milionowym kraju i postanowiono, że Ministerstwo Kultury zrobi wszystko, aby tego talentu nie zmarnować. Odwiedzili nas ludzie z ministerstwa i wspólnie zadecydowaliśmy, że góry nie są najlepszym miejscem do rozwijania talentów muzycznych, i że Wiktorija potrzebuje nauczycieli z muzyki. Niedługo po tym, dostaliśmy mieszkanie we Lwowie, ja dostałem pracę, a moja córka wykształcenie w szkole podstawowej we Lwowie i zajęcia z najlepszymi nauczycielami gry na fortepianie.

Jedna z moskiewskich telewizji przyjechała, aby nagrać moje cudowne dziecko. Okazało się, że w rzeczywistości kręcą film dokumentalny o fenomenach Czarnobyla. Mówiono, że u części z napromieniowanych pojawiają się nowe talenty, np. nagle stał się malarzem człowiek, który nigdy wcześniej nie wykazywał zamiłowania do malarstwa. Reporterzy z moskiewskiej telewizji planowali talent Wiktoriji przedstawić w świetle udręczonego losu jej matki. Nie chciałem takiego wyjaśnienia talentu mojej córki.

Minęło już dużo czasu odkąd Wiktorija poszła do łazienki, a ja siedziałem nadal sam. Teraz zacząłem się martwić i sięgać do kieszeni marynarki, żeby wyjąć telefon. Razem z telefonem, z kieszeni, wyjąłem czyjąś wizytówkę, pomięty banknot dziesięciu hrywien i pomiętą ulotkę, którą rano włożyła mi za wycieraczki dziewczyna na wrotkach. Teraz ją odwinąłem i czytam co reklamuje: Gargara – Kawiarnia Odnalezionej Miłości, a niżej z przodu małymi literami: Witamy w nowo otwartej kawiarni na ul. Krzywa Lipa 7. Zabrzmiało ironicznie: Kawiarnia Odnalezionej Miłości, tak jakby miała rozpalić moją duszę. Pomyślałem, że dziewczyna na wrotkach mogła też być częścią scenariusza przeciwko mnie, przeciwko mojej przeszłości. Podobnie jak 50-letnia Julija, która teraz siedzi w bistro Magnus. Pogniotłem ulotkę i wrzuciłem do popielniczki.

Wiktorija wreszcie wróciła z łazienki i mocno mnie przytuliła, zanim usiadła na swoim krześle. Miała czerwony nos i pociągała ostatnie łzy, a na jej twarzy można było odczytać oczyszczającą radość. Odwróciła

się do okna i patrzyła na dachy Lwowa. Przeleciała mi przez głowę jedna szalona myśl: jak by to było, gdyby stała się Julią i przyszłaby, żeby mnie przytulić. To jedna z tych myśli, które uderzają swoją nieudolnością, i które natychmiast wyrzucałem z głowy. Córka złapała mnie za rękę na stole, na którym wciąż leżał list od jej matki. Czułem jakby dotykała mnie ręka Ołesji. Myślę, że to wzajemne, że Wiki trzymając mnie za rękę, czuje, że trzyma za ręce oboje rodziców. Nigdy tak mocno nie czuliśmy jej obecności. Byliśmy rodziną oddzieloną od świata ogrodzeniem sekretnych, wzajemnych radości i bólu. Trzymając się za ręce, wyglądaliśmy przez okno i przelatywaliśmy nad dachami Lwowa. Poczuliśmy, że leci z nami Ona – najdostojniejsza wśród kobiet – Ołesia. Promienie słońca zapełniły już ulice pełne ludzi i teraz pieściły już dachy, pomarańczowo-faliste. Byliśmy we właściwym miejscu, tam, gdzie dzień trwa najdłużej. Tak, jakbyśmy nie chcieli, aby pierwszy dzień studiów mojej córki się skończył.

Spis treści

W DRODZE NA UNIWERSYTET 5

OCZEKIWANIE 10

POWRÓT Z UCZELNI 41